



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ

ROK 1924. WARSZAWA, 12 LIPCA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

## TREŚĆ NUMERU:

Ze służącą — czy bez służącej? — *m. b.* Czy rolnictwo jest zawodem szczególnie stosownym dla kobiet? — *Z. Zawiszanka.* Ogrody szkolne — *Janina Antoniewiczówna.* Trochę o feminizmie we Francji — *Dr. M. Kasterska.* Bajka — *Julja Dickstejnówna.* Egzotyczny kwiat — *Jerzy Marlicz.* Drogami duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceysingerówna.* Emil Verhaeren — *Marja Grossek-Korycka.* Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — *K. Bielańska.* Fotografje z podróży — *K. F. B.* Wystawa prac uczniów państwowej szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem — *N. Samotyłowa.* Na polach pracy i twórczości. — *H...a* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *A. Nasz dom* — *M. K.* Wskazówki praktyczne: 1) Kuchnia włoska; 2) Konfitury — *Pani Elżbieta.* Dodatek powieściowy: 1) Wyznanie (dokończenie); 2) „Mater Admirabilis” — *Ada Negri* (autoryzow. przekł. z włoskiego *R. Centnerszwerowej*). Dodatek robót i ubiorów.

## ZE SŁUŻĄCĄ — CZY BEZ SŁUŻĄCEJ?

Pisząc na tem miejscu przed paru tygodniami o braku organizacji w naszym życiu codziennym, nie ludziłyśmy się ani na chwilę, by nasze wezwanie do walki z zakorzenioną wadą społeczeństwa polskiego znalazło żywy odzew, by istotnie na pierwsze hasło znalazły się przodowniczki, które poprowadziłyby za sobą karne szeregi kobiet inteligentnych, szerzących słowem i własnym przykładem zasadę ładu w szarem życiu tysięcy rodzin, z których składa się ogół. Nie mogłyśmy oczekiwać tak wspaniałych wyników, bo gdyby były one możliwe, twierdzenie nasze byłoby kłamstwem. Nie przeceniałyśmy zresztą ani naszego daru przekonywania, ani popularności i wpływów naszego pisma. Sądziłyśmy jednak, że w sprawie tak ważnej, zasadniczej dla rozwoju jednostki i społeczeństwa, odezwie się bodaj parę głosów. Spodziewałyśmy się, że zarzucą nam przesadę, oczernianie przeciętne-

go trybu życia, zwykły w Polsce pesymizm w stosunku do tego, co własne. Myślałyśmy, że znajdzie się ktoś, kto nam wytknie operowanie ogólnikami i dopomoże do rozpoczęcia realnej pracy nad polepszeniem istniejącego stanu rzeczy.

Nikt się nie odezwał. Może na artykuł o wspomnieniach z życia Orzeszkowej lub Konopnickiej nadszedłby list, dorzucający garść innych pamiątek: lubimy pamiątki, choć mało gdzie marnuje się ich tyle, rozpraszanych, nieprzechowanych, niespisanych, wywożonych do obcych za nasze pieniądze. Bez wszelkiego zaś wątpienia miałybyśmy żywą wymianę zdań, o ile poruszoną sprawą byłyby rozwody, nagość na scenie lub inny temat odpowiednio sensacyjny. Ale organizacja... I do tego jeszcze organizacja życia codziennego... Organizacja i codzienność — cóż za prze-rażliwa nuda.

A przecież milczenie, jakim czytelniczki zbyły poruszoną przez nas sprawę, nie może nas zniechęcić. Wracamy ponownie do niej. Może obudzi ona większe zainteresowanie, gdy ją ujmemy od strony, która stanowi ulubiony przedmiot rozmów wszystkich pań na świecie: od strony służących.

Służka domowa — to bolączka każdego kraju europejskiego. Poza Europą, w Nowym Świecie jest to cierpienie chroniczne, tak zastarzałe, że go się już nie czuje, lecz jeszcze groźniejsze. Tam nie utyskują, że służba jest niedobra, bo w ogóle dostać jej nie można. W Stanach Zjednoczonych, w Australji, w Nowej Zelandji, gdzie współczesne formy gospodarki społecznej rozwinęły się w szalenie przyspieszonym tempie, przy rzadkiej ludności miejscowej, w pogoni za siłą roboczą zwyciężyła fabryka, przedsiębiorstwo: do posług domowych brak chętnych,



któreby się zgodziły na dłuższy dzień pracy i ograniczenie swobody osobistej. W domach bardzo bogatych — bogatych nie na europejską stopę — jest mnóstwo służących, mężczyzn i kobiet, suto opłacanych i korzystających z takich wygód, które okupują tamte niedogodności. W domu dobrze postawionego inżyniera fabrycznego, profesora, zamożnego nawet kupca trzeba się w najlepszym razie zadowolić murzynką. Nawiasem mówiąc, służba murzyńska jest wierna, uczciwa, przywiązana do dzieci. Emigranci z Europy w pierwszym pokoleniu umieją cenić zalety murzynów; ale anglosasi i amerykańanie „rdzenni” uważają obecność murzyna w domu, jako zło konieczne. Konieczne, gdyż biała służąca za drogo kosztuje.

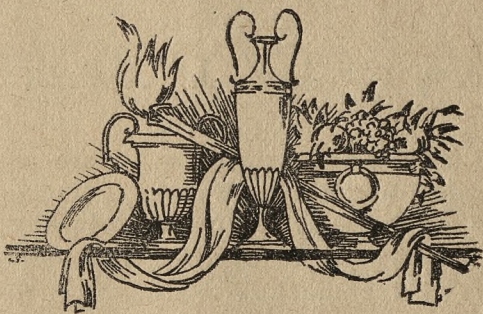
Podobne stosunki przenikają na zachód Europy. Tylko, że tam w kwestji służby domowej brak klapy bezpieczeństwa w postaci murzynów. Na długo nawet przed wojną, która najsilniej wstrząsnęła fundamentami egzystencji warstw średnich, zachód Europy nie znał służących w domach tej kategorii. Znam Polki, które, wyszedłszy zamąż za cudzoziemców, nie mogły wżyć się w nowe warunki bytu głównie z tego powodu, że nie miały służących. Znam z pośród nich takie, którym udało się pociągnąć mężów do Polski, gdzie znaleźli zarobki, odpowiednie dla swego uzdolnienia. U nas ta sama pani, która w Anglii nie mogła sobie pozwolić na jedną służącą, ma ich trzy.

Czy jednak istotnie poziom naszego życia jest dostatniejszy niż zagranicą? Czy — zawsze przy porównaniu tych samych sfer i zawodów — lepiej mieszkamy, wykwintniej ubieramy się i jadamy, korzystamy z więk-

szej ilości rozrywek artystycznych i strawy kulturalnej? Każdy, ktokolwiek zagranicą przyjrzał się życiu Francuzów we Francji, Anglików w Anglii, Niemców w ich ojczyźnie, nie ma żadnych wahań w odpowiedzi na to pytanie. Dzień powszedni na zachodzie dostarcza znacznie więcej komfortu niż u nas, gdyż komfort ten jest o wiele tańszy. To, co u nas kosztuje służącą, wydaje się tam na meble, ubranie, pisma i książki, teatr i koncerty.

Prawda, nasza służąca kosztuje tanio. Służąca francuska nie mieszkałaby tak jak nasza, kątem w kuchni, a często nie chciałaby mieszkać tak, jak u nas mieszkają panie, po kilka osób w jednym pokoju. Lecz w naszych warunkach nawet taka tania służąca wynosi drogo. Jesteśmy społeczeństwem ubogiem, a mimo to pozwalamy sobie na zbytki, na jakie nie stać znacznie zamożniejszych od nas.

A teraz odwrotna strona medalu. Żadna gospodyni zachodnioeuropejska nie trzymałaby naszych garnkotłuków. Wolałaby obywać się bez służącej. Naprawdę zaś nasza służąca byłaby zupełnie inną pod kierownictwem zachodnioeuropejskiej gospodyni, w karbach tamtejszej organizacji. Nie zbiegałaby piętnaście razy dziennie, co chwila po inną rzecz, o której pani



zapomniała przy ogólnej dyspozycji albo, której się zachciało panience, czy paniczowi; miałyby do sprzątania narzędzie ułatwiające pracę, do gotowania kuchnię gazową, mięso wyżyłowane, jarzyny czyste; do palenia w piecu brykiety zamiast brudzącego trudnego do rąbania węgla i odpowiednią suknię — fartuch z ciemnego płótna i biały czepeczek na głowie zamiast podartej i poplamionej, starej etaminowej bluzki i niezakrytych, dawno niemytych, źle uczesanych włosów. Przedewszystkiem zaś, wdrożona w systematyczny tryb pracy, służąca europejska w połowie tego czasu, co u nas, utrzymuje dom w istotnym porządku. Ten sam fakt zresztą widzimy w domach mniej zamożnych, gdzie sama pani przykładą rączkę do wszystkich prawie robót domowych, pozostawiając tylko najgrubsze posługaczce, płatnej od godzin przepracowanych, która w godzinę lub dwie załatwi to, co u nas wymaga pół dnia biegania i krzątania.

Niechże ktoś stanie w obronie naszych gospodyń i wskaże na trudności, w nabywaniu u nas produktów pierwszej potrzeby, takich jak mleko, pieczywo, mięso, na konieczność pilnowania mieszkań przed złodziejami, co wymaga pozostawiania zawsze jednej osoby w domu: na winy naszych mężów, którzy żyją tak, jakgdyby zegarek służył jedynie do ozdoby. Niech ktoś dowiedzie, że właśnie nieumiejętna służąca w nieorganizowanym gospodarstwie jest nieodzownym dopełnieniem ideału rodziny. Uderzymy się w piersi ze skrucą. Ale niechże ktokolwiek złoży dowód, że organizacja życia codziennego nie jest mu rzeczą obojętną.

m b.

## Czy rolnictwo jest zawodem szczególnie stosownym dla kobiet?

Umieszczając art. p. Zofji Zawiszanki oczekujemy, że wywoła on ożywioną dyskusję na łamach naszego pisma. Spodziewamy się, że zabiorą głos tak licznie kształcące się w naszych uniwersytetach studentki — rolniczki, a przedewszystkiem ukończone agronomki. Nie zgadzając się na wszystkie wywody p. Zofji Zawiszanki — uważamy je za zapoczątkowanie dyskusji, tem ciekawsze, że wyszło ono z pod pióra nie teoretyka, lecz praktyka.

(Przyp. Red.).

Już od szeregu miesięcy zauważam ze zdziwieniem przewijające się prze łamy „Bluszczu” westchnienia w kierunku agronomji — i pewną ten-

dencję do skierowania masowego kobiet na drogę tego zawodu.

Jestem ziemianką z urodzenia i wychowania — i właśnie jedną z tych nielicznych studentek, które ukończyły w 1912 r. wydział rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego i zdały państwowy egzamin.

Odbyłam prócz tego kilkomiesięczną praktykę rolniczą w dwóch, wzorowo prowadzonych majątkach — to wszystko po to, aby skonstatować, że absolutnie nie jestem zdolna do

zarządzania własnem 600 morgowym gospodarstwem.

Przez wiele lat czyniłam sobie gorzkie wyrzuty, oskarżając się o jakąś wyjątkową indolencję. Powoli doszłam jednak do przekonania, że niema w tem ani mojej winy, ani szczególnego uposledzenia — że przyczyną tej omyłki życiowej jest we mnie właśnie to, co nazywamy kobiecością.

I dziwi mnie bardzo, że pani C. Walewska nie widzi, jak dalece prowadzenie większych i średnich



warsztatów produkcji rolnej stoi w sprzeczności z kobiecymi cechami umysłu i woli, kobiecą zdolnością do pracy.

Przykłady ks. Jabłonowskiej, T. Sobieskiej, A. Młodzianowskiej, przytoczone w artykule „Wyższe zawody dla kobiet” nie przekonują mnie wcale: wszak w niezwykłych chwilach dziejowych kobieta nieraz i za oręż chwyciła i biła się bohatersko — a z tego nikt jeszcze nie wyciąga wniosku, jakoby była stworzoną na żołnierza. Co innego jest zastępować czasowo męża, czy syna, który walczy za Ojczyznę — a zupełnie co innego wybierać sobie zawód na całe życie.

Aby dobrze zarządzać majątkiem ziemskim, na to trzeba poznać i opanować fachowo następujące działy: 1) Rolnictwo właściwe (gleboznawstwo i hodowla roślin), 2) Hodowlę zwierząt domowych, 3) Kaskowść i handlowość. 4) Budownictwo, 5) Inżynierię rolną, 6) Mechanikę (maszyny rolnicze), 7) Chemię rolną (nawozy sztuczne).

Do tego prawie zawsze dodać trzeba jeszcze: 8) Leśnictwo, 9) Ogrodnictwo, 10) Mleczarstwo — a często: 11) Hodowlę ryb i 12) choćby ogólną znajomość danego przemysłu, — o ile w majątku jest gorzelnia, lub cukrownia.

To prawda, że umysł kobiecy dąży do wszechstronności i nie znosi zacieśnienia — może on interesować się nawet 20-tu naukami, ale 12-tu, a nawet 6-ciu nie zgłębi w szczególności i nie będzie codziennie praktykować.

Jeszcze gorsze jest to, że jeden z wymienionych działów — mianowicie trzeci — jest w praktyce specjalnie kobietom wstrętny.

Myślę tu o wyszukiwaniu rynków zbytu i osiąganiu wysokich cen za wyprodukowany towar. Wszelkie „targowanie się” stoi w tak rażącej sprzeczności z całą psychiką wyższego typu kobiecego, — że to wprost bije w oczy. Znam osobę, która w ciężkich warunkach wojennych dzielnie prowadziła dość duże gospodarstwo: wszystko było obrobione na czas, urodzaje wcale dobre, spichrz pełny — ale cóż z tego, kiedy właścicielka zbyt długo nie mogła dostosować swych pojęć do szybkiej dewaluacji naszej marki, — a sprzedając wszystko niżej kosztów produkcji, omal nie doprowadziła majątku do ruiny. I to jest przykład typowy.

Ale nie koniec na tem. W agromonomii praktycznej potrzeba jeszcze czegoś, co nie jest objęte żadnym wykładem w akademjach — jest to mianowicie: umiejętne postępowanie z licznym personelem robotniczym — stale, czujne opędzanie się od wszel-

kiego rodzaju złodziei. Bez talentu do tej specjalności nikt dobrym gospodarzem nie będzie, — a ja twierdzę, że tego talentu nie posiada z reguły żadna dobra i inteligentna kobieta.

Kocham nasz lud, widzę w nim wiele cennych zalet, wierzę w jego przyszłość, — ale trudno nie przyznać, że jest to jeszcze materiał bardzo surowy. Nasz robotnik rolny jest na ogół ciemny i leniwy: aby sobie z nim poradzić, trzeba albo geniuszu pedagogicznego, albo... dosyć „ciężkiej ręki”. Tej kobieta nie ma nigdy — to też raczej może się nadawać na nauczycielkę analfabetów, lub nawet na agitatora ludowego — niż na pracodawcę, we własnym interesie borykającego się nieustannie z biernością i ciemnotą chłopów. Ten chłop ma dotąd, niestety, bardzo mętne pojęcie o własności prywatnej — t. j. uznaje mocno swoją, ale nie chce wiedzieć o cudzej.

Kto wieś polską zna choć trochę, ten wie, że kradną tam wszyscy, mniej lub więcej, jawniej lub skryciej — poczynawszy od parobka stajennego, a kończąc (przeważnie) na ekonomie. Gdyby nie stałe i energiczne usiłowanie zredukowania tych kradzieży do minimum, — to starczyłoby kilka lat, aby każdy majątek sprowadzić do zera.

Czy takie stałe, zjadłe pilnowanie swego dobra, ta funkcja dedektywiczno-policyjna jest miłą i odpowiednią funkcją dla kobiety?! Wszak niejedna z nas waha się długo, zanim przedłoży służącej niezwykle dowód jej nieuczciwości — bo my się takich rzeczy wstydzimy, jakby swego własnego występku... My jesteśmy stworzone na to, by zapominać o sobie i czynić dobrze drugim — nie po to, aby pilnować swej korzyści, albo tropić i karać cudze winy. Im wyższym typem jest kobieta, tem żywszy czuje wstręt do takich zadań — choćby one były społecznie niezbędne. I tu właśnie naturalny podział pracy wskazuje miejsce mężczyźnie.

Znam wielu szlachetnych i subtelnych mężczyzn, którzy potrafią bez irytacji użerać się do upadłego z handlarzem o kilka groszy na korcu żyta — potrafią 20 razy na dzień wypędzać ze swego zboża gęsi sąsiada, osobiście „zajmować” krowy „w szkodzi” — i z prawdziwym zamiłowaniem organizować zasadzki na złodzieja, który kradnie snopy z pola, lub ze stodoły.

Nie widziałam ani jednej kobiety, któraby to umiała. Jeżeli zaś zdoła się na to, jeśli będzie zmuszona robić to codzień — to będzie się czuła poniżona we własnych oczach i nieszczęśliwa, — a przedewszystkiem zszarpie sobie nerwy na nic.

Powiecie mi zapewne, że są wyjątki — oczywiście, to wyjątki, które potwierdzają regułę.

Rozmawiałam raz we wspólnej podróży z pewną panią, która opowiadała z rzeczywistym zapalem o swej pracy około administracji majątku ziemskiego — o walkach, jakie stacza z całym światem, by ten kawałek ziemi doprowadzić do najwyższej wydajności. Święty ogień powołania bił od tej istoty. Ale ta istota nosiła męski kołnierzyk i żakiet, ściętą „na jeża” czuprynę — i trzeba było głęboko się zastanowić, aby przyjść do przekonania, że to kobieta.

Zdaje się więc, że nie przesadzę, uogólniając: zawód ten odpowiada tylko kobietom bardzo mało „kobięcym”, daleko odbiegającym od ogólnego typu. Jeśli tu znajdą się jeszcze jakie wyjątki, to będą to już chyba „białe kruki”. Mnie nie było danem ich widzieć...

Konkluduję zatem: jeżeli można mówić wogóle o zawodach zasadniczo dla kobiet niestosownych — to jednym z nich jest stanowczo agronomja na większą skalę...

Odetchnęłam też z ulgą, gdy pani Grossek-Korycka — gdyż przepadam za jej „Światem Kobiecym” — wyliczając zawody, które doradza kobietom, użyła wyrazu „farmerstwo”.

A to co innego! Gospodarstwo kilkunasto do 40-to morgowe, to całkiem inny świat, niż duży folwark. Tam ma się do czynienia bardziej bezpośrednio z rolą, zwierzęciem i rośliną, a nie z całym skomplikowanym aparatem administracyjnym.

Mniej jest pola do nadużyć, bo one łatwiej wpadają w oczy. Nieliczna służba — to raczej pomocnicy i domownicy; kontakt z nimi nawiązuje się łatwiej, jest bardziej osobisty i dobroć może w nim odegrać dużą rolę.

Mam wrażenie, że kobiety mogłyby świetnie postawić takie małe rolne gospodarstwa, zwłaszcza w bliskości miast — i znaleźć w tej pracy wiele zadowolenia. Przy obecnej tendencji do rozdrabniania większych obszarów rolnych, może to być dobre pole dla wielu kobiet, mających zamiłowania praktyczne. Zależnie od położenia danego kawałka ziemi, można by nim uprawiać czy to ogrodnictwo, czy jakiś dział hodowli (pszczelnictwo, hodowla świń, drobiu i t. p.) — oczywiście, przeszedłszy odpowiednie przygotowanie.

Nie należy jednak namawiać młodych dziewcząt, aby się kształciły na administratorów większych folwarków — bo zmarnują tylko lata studjów i same sobie zgotują gorzki zawód.



## OGRODY SZKOLNE

Wiele razy już poruszano sprawę ogrodów szkolnych w pismach tak ogrodniczych jak i pedagogicznych, a jednak sprawa ta pomimo wielkiego znaczenia wychowawczego posuwa się wolnym krokiem naprzód. Często jest to wina organizacji tejże pracy, a często brak odpowiedniego wykształcenia lub, co ważniejsze, przemyślenia tego ważnego zagadnienia przez czynniki kierujące i wychowawcze. Doniosłość jednak ogrodu szkolnego jako środka wychowawczego jest zbyt wielka, by nie poświęcić mu słów parę, choćby w formie króciutkiego szkicu.

Jako naturalny odruch nauczania przyrody drogą doświadczeń, obserwacji i porównywania przez dzieci same wysunęła się idea ogrodu szkolnego, jako miejsca, gdzie takie nauczanie najłatwiej przeprowadzić. Osiągnąć w ten sposób można wiele: pobyt dzieci w świeżym powietrzu, zdrowa gimnastyka ciała, zainteresowanie procesami przyrody, obserwacje roślin i zwierząt, zręczność w ręku, wytrwałość i cierpliwość, oceny trudu pracy ogrodnika czy rolnika.

Zależnie od środowiska, w jakim ma powstać ogród szkolny, a chodzi mi tu przede wszystkim o ogród szkoły powszechnej. Wyróżniamy szereg typów ogrodów, mających różne zadania do spełnienia. I tu właśnie leży jedno z najważniejszych źródeł błędów, które prowadzi do złego założenia ogrodu i często do poniesienia tej myśli, do zarzucenia idei ogrodu szkolnego. — Ogród szkolny nie może być organizowany wedle szablonu, — musi być, „giętki” i musi się przystosowywać do środowiska, w którym jest zakładany. Złe wyczułe i zrozumiane potrzeby środowiska muszą wywołać fałszywe założenia i zadania, jakie ogród ma spełnić, a tem samem małe wyniki przy dużej nawet pracy. Inaczej musi być założony i pielęgnowany ogród szkolny na wsi, inaczej w małym mieście, inaczej w dużym. — Jakie zasadnicze wytyczne powinien mieć ogród przy szkole na wsi? Odpowiedź na to może trudniejsza, niżby się w pierwszej chwili wydawać mogło, bo tutaj dzieci przychodzą ze środowiska, w którym zasadnicze prace w ogrodzie są dzieciom doskonale już znane. Tutaj nauczyciel przy prowadzeniu ogrodu szkolnego musi wziąć pod uwagę przysły gospodarski zawód większości swych uczniów i to niech będzie podstawą metodycznego przeprowadzenia pracy w ogrodzie. Szkoła powszechna na wsi musi dać także dzieciom wobec naglających wymagań życia praktycznego znajomość warsztatu pracy, w którym praca i nauka łączą się razem. Warsztatem tym ma być ogród szkolny, pogadanki bowiem o różnych procesach, przebiegających w przyrodzie, a niepokazane na warsztacie — mają podobne znaczenie, jak pokazanie

przyszłemu rzemieślnikowi poszczególnych materiałów, służących do danych wyrobów, a niewskazywanie jak się z tych materiałów daną rzecz sporządza. To też ogród szkolny na wsi nie może być wyłącznie ogrodem nauczyciela, w którym tylko silniejsze i starsze dzieci pracują, ani polem doświadczalnym, na którym często uprawia się rośliny w danej części kraju zupełnie się nie udające. Musimy w ogrodzie szkolnym na wsi wziąć za podstawę to, co wiąże się z gospodarką rolną danej okolicy, a więc np. czy to lepiej hodować jakąś roślinę, aniżeli się właśnie w tej części kraju hoduje, albo zastosować plan płodozmianu, który w tej okolicy wygotować może najbliższa szkoła rolnicza, albo sadzić i racjonalnie pielęgnować odmiany drzew dla tej strefy najlepsze. Musi też nauczyciel wybierać inne przedmioty z zajęciami w ogrodzie, np. w tematach wypracowań piśmieniowych, w pogadankach przyrodniczych, a nawet w ćwiczeniach arytmetycznych, za podstawę można wziąć np. ilości plonów z ogrodów w porównaniu z wymiarem przestrzeni, z której tenże zebrano; to samo dotyczy geografii, historii martwej.

Ogródek szkolny miasteczka małego będzie miał zadanie inne; tutaj prace wszystkie skierowane są do tego, by wskazać dzieciom, jak należy najlepiej wyzyskać mały kawałek ziemi i jak go równocześnie uczynić miłym, ładnym miejscem odpoczynku po ciężkiej pracy w warsztacie lub fabryce.

Inaczej znowu musi być założony ogród szkolny w dużym mieście, gdzie są tylko parki i małe ogrody spacerowe. Tu cała przyroda żywa, jak las, łąka, pole z ich roślinami i zwierzętami są dla dziecka obce, nieznanne, boć przeważną część życia spędza ono wśród murów kamienic. W ogrodzie szkolnym musi zobaczyć dziecko to, czego nie może zobaczyć w mieście, a więc jak się hoduje warzywa, co dzień przez nie spożywane, jak wygląda np. żywa roślina kartofla, tak często przezeń jadanego, jak wyglądają najważniejsze gatunki zboża, drzewko, zwane jabłonią, którego zna owoc, a często nie zna kwiatu, liści. Tutaj powinny być sadzone rośliny przemysłowe, lecznicze z wyjątkiem trujących, związane z przyszłymi zawodami dzieci miast wielkich.

Organizacja ogrodu szkolnego obejmuje gospodarkę ogrodową: a więc oparkanie, uprawę roli, sposób obsadzania, które to wskazówki znaleźć można w każdej książce, dotyczącej uprawy, roślin np. J. Brzeźnicki: „Hodowla warzyw”, „Hodowla drzew owocowych”, E. Jankowski: „Sad” i t.p. O wiele trudniejsza jest sprawa zdo-

bycia środków na zagospodarowanie ogrodu (dlatego też ogród powstawać zwykle musi powoli). Tutaj przedsięwzięcie samego nauczyciela, a przede wszystkim zrozumienie wartości tego środka wychowawczego przez władze szkolne i komunalne mogą być znaczną pomocą.

Organizacja pracy dzieci w ogrodzie szkolnym zależy w znacznej części od tego, czy ogród szkolny jest typem ogrodu działkowego, gdzie każde dziecko lub każdy oddział ma swój zagonek, czy też ogród cały obejmuje nauczyciel, i na części jego lub w całym ogrodzie dzieci współpracują... Dziecko tak w jednym, jak i w drugim wypadku pracować może (ale bezwarunkowo nie może być, jak to się niestety często dzieje, traktowane jako siła robocza, zastępując robotnika) o ile ogród nie za duży i praca nie trwa za długo. Zadaniem nauczyciela jest obudzić nietylko zainteresowanie pracą w ogrodzie, ale i to zainteresowanie podtrzymać. Jeśli dziecko się pracą fizyczną w ogrodzie przemęczy, chętnie pracować nie będzie. Jedna godzina dziennie aż nadto wystarczy, resztę wykonać musi w małym ogródku sam nauczyciel, w dużym ogrodnik i robotnik. Pracę w ogrodzie należy łączyć z pogawędką, aby dzieci mogły swobodnie zadawać pytania i otrzymywać odpowiedzi od nauczyciela, ale w formie swobodnej, wesołej, pogodnej, karność klasowa musi cokolwiek zmaleć. Można też zorganizować do pracy w ogrodzie tylko najpilniejsze i najlepsze dzieci, jako nagrodę za ich pilną naukę i dobre sprawowanie. Roboty w ogrodzie należy tak zorganizować, by przez cały czas pracy w ogrodzie dziecko zawsze miało co w nim robić.

Nowa praca, którą dzieci mają wykonać, musi być przez nauczyciela zademonstrowana. Nie trzeba też zapominać o tem, że dziecko odrazu nie może swej roboty dobrze wykonać — z braku choćby wprawy, ale tutaj trzeba być cierpliwym. Przy organizowaniu pracy dla dzieci trzeba baczenie zważać, by dziecko poleconą pracę sumiennie wypełniało i na to trzeba kłaść duży nacisk; aby jednak to osiągnąć, trzeba, rozdając pracę liczyć się z rozwojem umysłowym i fizycznym dziecka, nie dawać mu pracy za trudnej lub za ciężkiej.

By ogród szkolny postawić na odpowiedniej stopie, nauczyciel musi mieć odpowiednie wykształcenie, zdobyte bądź w seminarjach nauczycielskich, bądź cięższą drogą samokształceniową i powolnej, lecz tem cenniejszej osobistej praktyki. Znajomość ogrodu szkolnego dać mu powinno seminarjum lub ostatecznie długoletnia, nieraz pełna zawodów, praktyka.

Janina Antoniewiczówna.



# TROCHE O FEMINIZMIE WE FRANCJI

Jeśli feminizm ma sporo zwolenniczek w literaturze francuskiej, w ostatnich czasach zaczęło mu przybywać i wrogów. W tych dniach wyszły dwie książki antyfeministyczne, które wywołały echo w prasie, dowodząc, że kobieta francuska pewnych warstw społecznych jest mniej skłonna do żądania reform politycznych i socjalnych. Rzecz jasna, że feminizm liczy coraz więcej zwolenniczek we Francji, ale kobieta burżuazji francuskiej, to jest kobieta najwykwniętsza i najinteligentniejsza, rzadko bywa zwolenniczką feminizmu. Uważa ona, iż właściwym królestwem kobiety jest dom i rodzina, że matka nie powinna dla żadnych celów ani społecznych ani moralnych porzucać dzieci i oddawać ich w obce ręce. Jeżeli bowiem niektóre kobiety nie są w możności karmienia dzieci, są to wyjątki, wszystkie jednak kobiety mogą się zająć dziećmi osobiście. Tak mówi jedna strona. Ale: *audiat et altera pars*, feministki odpowiadają na to z zupełną zresztą słuszością, że trudne warunki dzisiejszego życia zmuszają dziś kobietę do pracy, że praca ta nieraz bywa nieodzowna i zapewnia spokój rodzinie, że skoro dzieci są w szkole, matka nie może zajmować się nimi równocześnie. A przytem w razie wdowieństwa, w razie choroby lub wypadku, dobrze jest, gdy kobieta umie borykać się z losem. Co mają robić wreszcie te, które nie znalazły męża? Albo te, które nań czekają jeszcze?

Te dwa obozy kobiece nie pogodzą się nigdy. I w jednym i w drugim obozie nie brak śmiesznie zacietrzewionych przeciwniczek, i w jednym i w drugim nie brak kobiet rozumnych i wartościowych. Ba, nawet znajdują się takie, które potrafią wybornie godzić w swem życiu zasady obu obozów, nie szkodząc w niczem ani obowiązkom rodzinnym, ani obowiązkom społecznym.

Powróćmy jednak do dwóch autorek świeżo wydanych książek: „*La décadence de l'amour*” pani Marty Borely i „*Faut-il supprimer gynécée*” pani Henryety Charasson.

O pani Charasson miałam sposobność pisać parę razy w „*Bluszczu*”. Jeżeli młoda kobieta pyta dziś: czy trzeba zniszczyć gynecium, innemi słowy, czy kobieta powinna iść w świat pomiędzy obcych ludzi i własną pracą zdobywać życie, pytanie to jest tem charakterystyczniejsze w jej ustach, że sama, jako bardzo młodziutka dziewczyna, musiała iść w świat i zarabiać na chleb. Mimo powodzenia w literaturze, lata te to lata walk i gorzkich nieraz prób. Młoda literatka przeżywa kryzys religijny, dość zwykły u młodzieży intelektualnej, okres zwątpienia, lecz wszystko to nie wyczerpuje jej wrażliwości, ani nie po-

rusza do głębi jej uczuciowości. Obu- dzi ją dopiero macierzyństwo. — Henryeta Charasson zaślubiła przed kilku laty p. René Johannet, znanego filozofa neo-katolickiego, i wtedy to nastąpił jej pełny rozkwit ducha. Ale wtenczas właśnie, bogata własnem doświadczeniem, chciałyby oświecać inne, te, które idą w świat, że prawdziwe życie kobiety, to rodzina i dom. Naturalnie jestto *vox clamantis in deserto*—głos wołającego na puszczy—bo te, które idą w świat z własnej woli czy z musu, pójdą i tak, jak zresztą byłaby w latach 20 tu poszła i pani Henryeta Charasson, choćby jej przepowiedziano jej własne życie.

Trzeba oddać sprawiedliwość autorce, że nie łądzi się wcale co do tego w swej książce i rozumie, że praca jest często konieczną, a nawet zbawienną. Ale chciałaby, żeby celem było zamążpójście i macierzyństwo, i aby kobieta nie wstydziła się tego. Ma tu zresztą najzupełniejszą słuszość i prawdopodobnie nie wiele dziś kobiet ulegnie się staroświeckiego „chce się za niego wydać”, bo ostatecznie, zdrowo rzeczy biorąc, czegoż innego uczciwa kobieta chce może od ukochanego mężczyzny, jak nie tego, aby ją zaślubił?

Henryeta Charasson staje zatem przed problemem, którego dotąd nikt nie rozwiązał i bodaj nie rozwiąże. „*Gyneceum*” ani zapanować wszechwładnie nie może, nigdy zresztą tak nie panowało—ani ulec zagładzie zupełnej. Ale książka jej, pisana żywo i zajmująco, może zainteresować każdą inteligentną kobietę.

Pani Marta Borely jest bardziej abstrakcyjną, chodzi jej o aureolę kobiecości, o rycerskość męską względem kobiet, o panowanie kobiety w dziedzinie ideału. Są to ładne i szlachetne marzenia. Dalej pani Borely chciałaby widzieć w kobiecie inspiratorkę mężczyzny, ale nie rywalkę, dowodząc, że sam ustrój fizyczny nie pozwala kobiecie myśleć o dorównaniu mężczyźnie. Zresztą dowodzi dalej autorka, wszystkie prymitywne narody zmuszały kobietę do pracy, mężczyzna używał swej siły na to, by wyzyskiwać słabość kobietę, więc jasnym jest, że im więcej ucywilizowaniem jest społeczeństwo, tem bardziej uprzywilejowaniem w niem jest stanowisko kobiety. Następuje klasyczny przykład, cytowany zwykle w podobnych razach: dawniej w tramwaju, w omnibusie, ustępowano miejsca kobiecie, dziś nikt o tem nie myśli.

Niestety, dzieje się gorzej, bo nieraz nie ustępują mężczyźni miejsca inwalidom z ostatniej wojny. Jest to skutek nie feminizmu, jak sądzi pani Borely, ale poprostu braku dobrego wychowania, dowód pewnego chamstwa duchowego, gdyż młoda kobieta może bardzo dobrze podró-

żować stojąc, ale nieszczęsny kaleka znosi tortury przy każdym wstrząśnięciu wehikułu. Muszę też zaznaczyć, że nigdy nie widziałam kobiety z dzieckiem na ręku, podróżującej stojąc; zawsze zrobiono jej miejsce. I słusznie, gdyż każdy mężczyzna winien jej jest szacunek przez wzgląd na własną matkę.

Książka pani Borely jest wesechnieniem za dawnymi, dobrymi czasami. Ale, niestety, trzeba by sympatycznej autorce zacytować słowa Asnyka: „Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”. Z drugiej strony feministki francuskie krzątają się żwawo. Na razie największą ich troską jest dostać się do prawa głosowania, ale obok tego zajmują je i inne kwestje. Tak np. rozważana jest kwestja nazwiska dzieci, czy mają one prawo do nazwiska matki. Zauważyć trzeba w tem miejscu, że kwestja ta została oddawna roztrzygnięta w kraju, uważanym za najbardziej konserwatywny w całej Europie, t. j. w Hiszpanji, gdzie dzieci noszą zarówno nazwisko obojga rodziców. Wytwarzają się wprawdzie nieraz wskutek tego łokciowe nazwiska, niezbyt dogodne.

Drugą kwestją, bardzo ciekawą tym razem, jest kwestja narodowości kobiety zamężnej. Kwestję tę wprowadziła na porządek Wielka Wojna; przedtem mało zastanawiano się nad nią. Ale w roku 1915 nierzadkim był fakt, że Francuska, która wyszła za Niemca, traktowaną była jak Niemka, t. j. zamykana ją w t. zw. „*camp de concentration*”, podczas gdy Niemkę, która wyszła za Francuza, traktowano jak Francuskę, nieraz z wielką szkodą, bo okazywały się one czasem szpiegami. Otóż feministki francuskie domagają się, aby kobieta, wychodząc za mąż zachowywała nie tylko swą narodowość—tej bowiem nikt nikogo pozbawić nie może—ale swe poddaństwo lub obywatelstwo, i o ile dostaną się do Parlamentu, będzie to jednym z ich pierwszych żądań.

Wreszcie niektóre z feministek wzdychają nad tem, że Akademia Nieśmiertelnych pozostaje wciąż niedostępna dla kobiet. Pani Aurel, znana powieściopisarka francuska, jest chronologicznie drugą w dziejach kobietą, gotową postawić swą kandydaturę. Inne autorki nie wypowiadają się w tej kwestji, która może w rzeczywistości niewiele je interesuje. Za to może niejedna z nich zazdrości skrycie słynnej poetce rumuńskiej, pani Helenie Vacarescu, jej roli reprezentantki swego kraju w Lidze Narodów. Trzeba przyznać, że pani Vacarescu broni dzielnie interesów swej ojczyzny, ale któż o tem nie wie, że kobieta była i jest wrodzoną dyplomatką?

Dr. M. Kastarska.



# BAJKA

*Bajka przechodzi wśród ludzi roiska  
Niepostrzeżona.  
W ulic się mroku jesiennym przeciska,  
Daleka dumnym, utęsknionym bliska.—  
Zniża ramiona.*

*Z ostatnim słońca rzutem się zakrada  
W domowe cisze.  
Szepce w sąsiada głosie do sąsiada,  
W opadającym zmierzchu się kotysze,  
I czeka błada.*

*Czeka godziny, gdy pracą warkliwe  
Staną warsztaty.  
Dusza na dumań napnie się cięciwę,  
Serce o ziemi sny się oprze żywe,  
Jako przed laty.*

*A wtedy oczy ubiegają daleko  
Za znikłe zorze.  
I od poznania słodkie lzy pocieką,  
Świat się pod senną rozłączy powieką  
W grające morze.*

*O! wtedy wszystkie kształty w aureole  
Bajka odzieje.  
I znów w pospólnym dawnych braci kole.  
Rzecz każda świętą zwierzać będzie dolę,  
Swe długie dzieje.*

*I nie wiem, kiedy przyjmą bań, pątnice  
Z wieka pra-wleka,  
Różnych stuleci niewdzięczni dziedzice  
I kiedy pięknem pokraśniaje lice  
I myśl człowieka.*

*I między ludźmi, jak anielskie przędzie,  
Cud się namota.  
Rozzłocą karty w czarodziejskiej księdze  
I wskresną słowa o czucia potędzie  
I śnie żywota.*

*Lecz próżno czeka, stojąc wśród zamroczy  
Tęskna wygnanka.  
Niczyje serce i niczyje oczy  
Nie chcą rwać kwiecica na czarów uboczy.—  
Czeka do ranka.*

*Czeka przy białym łóżeczku dziecięcy.  
Niewinnej w tłumie.  
Sieje siew cudu... Mijają godziny  
Przy ślicznej duszy, tej jednej jedynej,  
Która rozumie...*

*Aż warkot życia, co się ziemi ima,  
Płoszy sierotę.  
Świt już sinemi zagląda oczyma.  
Budzą się kształty.—W sercu szara zima  
Mrozi sny złote.*

*Czerwone blaski ogniska dogasły:  
Odwrotu pora.—  
I życiowemi przyduszona hasły  
Uchodzi w ranka godzinie obrzawej  
Smutna, jak wczora.*

JULIA DICKSTEINÓWNA

## EGZOTYCZNY KWIAT

Pomiędzy Indjami a Sjamem, oparta plecami o skaliste zbocza gór Tybetu, i kąpiąc stopy w przezroczystej głębi oceanu, leży Birma. Pod niebem bez chmur prawie, po ziemi, osnutej siecią słonecznych promieni, to znów niewodem księżycowych blasków, rodzi się, żyje i umiera wesoły, a przesądny lud, którego największą ozdobą jest kobieta.

— My wszyscy siedzimy pod pantoflem!—mówił pewien Birmańczyk, pokazując lśniące zęby w szczęśliwym uśmiechu. Osobiście nie lubię zdecydowanej przewagi jednej płci nad drugą—niewola jest zawsze zła i poniżająca. Ale przewaga kobiety birmańskiej nad mężczyzną jest, jeżeli

już nie słuszną, to w każdym razie zupełnie usprawiedliwioną. W przeciwieństwie do hindusek, owiniętych w ciemne sari, — kobieta birmańska ubiera się zawsze jasno. Różowy, błękitny, lub jasno czerwony płat materji, udrapowany na ramionach i opadający aż do kostek,—a na to, czasem, czyściutki biały kaftanik. Włosy, szafirowo-czarne, jak na europejski gust zbyt grube i twarde, namaszczone obficie tłuszczem i przez to połyskujące, jak szmelcowana stal, układają się w powszednie dnię gładko, zwinięte nad karkiem w gruby węzeł, a w święta upinane w kunsztowną fryzurę, ozdobioną srebrnymi szpilkami i kwieciami. Na rękach dzwonią we-

soło bransolety, — zazwyczaj gładkie kółka z metalu, zależnie od zamożności, bardziej lub mniej cennego. Jeszcze parasolka, na wzór chińskiej, o wielu pręcikach, — chroniąca od słońca i tworząca śliczne tło dla miłej twarzyczki — a na bosych nóżkach sandały. Nie jest to obuwie zbyt wygodne i ktoś nieprzyzwyczajony, zaraz po pierwszych paru krokach pozostawiłby je na drodze, ale birmańska elegantka umie tak zręcznie stawiać stopy, drobiąc małemi krokami, jakby się już w tych trepkach rodziła.

Dzieci w Birmie, jak zresztą na całym świecie wogóle, na wschodzie w szczególności, są ogromnie żywe



i hałaśliwe. Do lat dziesięciu mniej więcej, dziewczynki i chłopcy bawią się razem — niemal jednakie smukłe figurki, owinięte w biodrach barwną szmatą; zawsze prawie roześmiane lub płaczące, tak, jakby stan równowagi duchowej wcale dla nich nie istniał; często podrapane, zakurzone, lśniące od potu i od czasu do czasu z ogromnem cygarem w drobnych wargach. Bo w tym dziwnym kraju palą wszyscy, poczynając od trzyletnich dzieci i nie zdaje się to im na zdrowiu szkodzić. Podobno miejscowe cygara, mówiąc nawiasem niesłychanie duże, są bardzo słabe i wcale nie działają na nerwy; być może zresztą, gra tu rolę przyzwyczajenie wielu pokoleń, w każdym razie kolorowe dzieciaki hodują się zdrowo i nie zdradzają żadnych objawów neurastenji.

Kiedy dziewczynka staje się kobietą, a chłopczyk — mężczyzną, spełniają nad nimi obrzęd, mający zaświadczać ich dojrzałość. Chłopcu tatuują nogi, a dziewczynce przekłuwają uszy, by mogła w nich nosić tak wdzięcznie odbijające od ciemnej cery, ciężkie, srebrne kolczyki. Jest to wielka uroczystość, na którą zapraszają dużo gości. Przychodzą też, sprowadzone przez kogoś z bliższej rodziny, dwie najważniejsze osoby: zawodowy przekłuwacz uszu i wróżbita. Następuje główna ceremonia; płacz dziecka tonie w radosnych okrzykach zgromadzonych. Zresztą bół trwa bardzo krótko, a starannie leczone ranki goją się bardzo prędko. I następuje wkrótce dzień, w którym — egzotyczna piękność, zawiesiwszy w uszach ciężkie, srebrne ozdoby i starannie wymalowawszy wargi i brwi pokrytej wonnym pudrem twarzyczki, idzie na swój pierwszy spacer dorosłej osoby. Towarzyszy jej zwykle któraś ze starszych, doświadczonych elegantek, pilnie bacząc, czy nowicjuszka zachowuje się przystojnie i czy dostatecznie wykręca ku środkowi stopy — od tego bowiem zależy ładny układ fałd barwnej szaty.

A teraz ważna życiowa kwestja — wybór męża. Birmańska dziewczyna nie jest przytem nigdy krępowana nakazem starszych; nie zaręczają też jej w dzieciństwie, jak to ma miejsce w sąsiednich Indjach. Wybór zależy od jej woli i od wróżb. Ale o tem później... Narazie więc szuka i wybiera, a najczęściej odbywa się to w ten sposób, że kolorowa miss zakłada — sklepik. Tak, naprawdę! Zakłada sklepik z warzywem, owocami, perkalem, czy jakimś innym towarem, i pilnie handlując, przygląda się mężczyznom. Uwija się ich dość około przypuszczalnych kandydatek do stanu małżeńskiego. Starokawalerstwo nie jest tu wcale popularnem i każdy niemal dwudziestoletni birmańczyk jest już żonaty.

Inspekcja odbywa się w dzień, a flirt po zachodzie słońca. Myliłby się ten, kto by sądził, że cudna podzwrotnikowa noc okrywa swymi gwia-

zdami tkanym płaszczem, zbyt swobodne wybryki zakochanych serc. O nie! Birmańska dziewczyna jest bardzo skromną. Karminem pociągnięte wargi nie tracą do rana ani odrobiny jaskrawych barw, a miękka szata zazdrośnie kryje gibką postać. O miłości narazie się tylko mówi. I tak mile jest gwarzyć o niej teraz, gdy nie oślepią oczu płomienne słońce; lekki wietrzyk, pędzony kędyś zdala szeroką piersią oceanu, niesie woń kwiatów i dźwięki słodkich pieśni.

Pewnej nocy wybór jest dokonany i pewnego ranka młoda para oznajmia o tem rodzinie. Ogólna i hałaśliwa radość! Ale co powie wróżbita? Oto już nadchodzi wyniosły i posągowo usposobiony. Pyta o dzień urodzin oblubieńca i oblubienicy. Namysła się krótko i wyrokuje:

— Małżeństwo nie będzie szczęśliwe. Ram-Singh urodził się pod znakiem tygrysa, a Zia-la pod znakiem bawołu.

Wiadomo ogólnie, że te dwa zwierzęta żyją w najwyższej niezgodzie. Wynik zatem takiego małżeństwa jest jasny. Rozwód w Birmie nie wymaga skomplikowanych zabiegów, ale nie wypada się przecie rozwódzić zaraz w pierwszym miesiącu.

A tu i trzy dni nie obyłyby się bez kłótni. Kłótnia, widowisko dla sąsiadów, nie jest w porządnym rodzinach dopuszczalna, a zatem, należy z tego związku zrezygnować.

I tak silnym jest autorytet wróżbiarza, oraz poszanowanie jego wróżb, że nikt nie myśli o opozycji. Piękna Zia-la popłacze trochę, Rum-Singh westchnie ciężko i nazajutrz ona będzie znów prowadziła handel, bystreimi oczyma wypatrując konkurenta, a on, będzie rzucał wymowne spojrzenie ku innej dziewczynie.

A najczęściej wróżba wypada pomyślnie, wówczas odbywa się wesele. Ceremonji religijnej niema przy tem wcale; jest to umowa czysto prywatna. Należy tylko wybrać odpowiednią porę. Otóż są 4 miesiące: czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień, w czasie których wyznawcom Buddhy, obyczaj ślubów zabrania. Z dalszych miesięcy, każdy ma swoją wróżbę: jeden, obiecuje młodej parze miłość, inny — zdrowie, inny jeszcze bogactwo. Są takie, które wróżą nieszczęście, lub śmierć. Długo radzą krewni i znajomi nad wyborem tego, co najważniejsze. Wreszcie nadchodzi dzień ślubu. Ojciec pana młodego, urządza huczną ucztę w domu panny młodej. Mówi się o miłości i o cnocie w pożyciu małżeńskim, je się dużo, pije jaknajwięcej — i małżeństwo jest zawarte.

Jak widać, obrzęd to mało skomplikowany; ale otrzymanie rozwodu jest jeszcze łatwiejsze. Wystarczy tylko chęć jednej ze stron; druga rzadko oponuje, bowiem zatrzymywanie gwałtem niezadowolonej żony, lub

znudzonego męża, jest w bardzo złym guście. Zresztą opozycja nie ma w tym wypadku żadnego praktycznego znaczenia. Powodem żądania rozwodu ze strony żony może być: niezdolność męża do pracy, lenistwo, starość lub kalectwo, nabyte po ślubie; ze strony męża: nieposłuszeństwo żony, brak potomka męskiej płci, oraz zbyt duża płochość. Przy dobrej woli, można zawsze nagiąć okoliczności do powyższych warunków.

W razie rozwodu niema mowy o wypłacaniu odszkodowań tej, lub innej stronie; ślub był przecie zawarty dobrowolnie, a nie pod przymusem. O ile są dzieci, to rodzice dzielą je pomiędzy siebie; przeważnie matka zabiera dziewczynki, ojciec — chłopców. Jeżeli rodzice nie dojdą w tej kwestji do porozumienia, występuje „Rada Starców” danego miasteczka lub wioski, a wyrok jej jest bezapelacyjny i trzeba przyznać, niemal zawsze słuszny. Ruchoma i nieruchoma własność dzieli się w ten sposób, że każdy zabiera to, co do gospodarstwa wniósł przed ślubem; rzeczy, nabyte podczas wspólnego pożycia, dzieli się na dwie nierówne części; ten kto więcej pracował, otrzymuje więcej — praktyka dowiodła, że osobą tą jest najczęściej kobieta. W razie jakiegoś nieporozumienia, znowu występuje „Rada Starców”.

Pomimo takiej łatwości w otrzymywaniu rozwodów, nie są one wcale zbyt częste. Birmańczycy są naogół łagodni, pracowici i weseli, — birmanki: skrzętne, sprytne i wierne. Zresztą podobno najsilniejszym węzłem, łączącym zakochane pary, jest możliwość zerwania tego węzła w każdej chwili. Niema przymusu, tak przykrego dla ludzi ceniących swobodę; niema zdrad, kłótni i bijatyk. Jest natomiast z obu stron chęć uczynienia życia jaknajmilszem i jaknajbardziej pociągającym. Wbrew obyczajom, panującym w Indjach i Sjamie, młoda para po ślubie zamieszkuje w domu rodziców żony. O ile dom ten jest zbyt ciasny, to w jego pobliżu buduje się inny. Nie jest to ani duża, ani zbyt skomplikowana praca. Widziałem chatki lepiane poprostu z gliny, na ścianach których znać było jeszcze odciski palców. Te pierwotne schroniska nie miały nawet okien — światło wpadało przez drzwi. Dach kryty był liśćmi bananów, po których w razie deszczu, woda spływała równie dobrze jak po gontach. Bardziej wybredne i bogatsze małżeństwa budują swe domy okazalej i ozdobniej. Podługę unosi się o parę stóp nad ziemią, przez co zmniejsza się dokuczliwa w czasie dżdżystej pory wilgoć. Wnętrze jest podzielone na dwa pokoje, oświetlone otworami w kształcie okien, przeważnie jednak bez szyb. Dach tworzą czasem snopki trawy układane na podobieństwo naszych strzech, czasem, jakieś dużego gatunku liście; zdarza się nawet ku wielkiej dumie mieszkańców dach



z glinianej dachówki, lub blachy, wprowadzający przykry dysonans do ściśle egzotycznego krajobrazu. Wokół domu, ciągnie się kryta weranda, ulubione miejsce dziecinnych zabaw. Umeblowanie poszczególnych domów mało się pomiędzy sobą różni; składa się ono przeważnie z cieniutkich mat, służących do siedzenia i spania, z wielkich naczyń na wodę, i z pudełka podługowatej formy wypełnionego ziemią, w którym, na gorących węglach przyrządza się jedzenie — w czasie dżdżystej pory, w pokoju, a w czasie pogody, na dworze.

Spory kawał ziemi w pobliżu domu staranną uprawą zamienia się na ogród. Rosną w nim owoce: banany, podobne do zakrzywionych malajskich krisów, żółte jak jaskry, nakrapiane niby skóra pantery szorstkim włosem, chroniące wewnątrz twardej skorupy orzeźwiający, bo zawsze chłodny, lecz mdły napój; ananasy słodkie jak miód, a z łuską pokrytej skóry do dziwnie nadętych złotych ryb podobne, i mangustany, drażniące zapachem i smakiem, niby rajske, zakazane owoce. W promieniach słońca oślepiają barwne kwiaty, jak strzępy drogocennych tkanin, rzucone na soczysty kobierzec traw. Nocą odurza ich zapach, w którym zmieszana z innemi, a jednak wyraźna, snuje się woń „kwiatu śmierci“.

Praktyczna birmanka w tym ogrodzie tak pięknym jak haszyszem wywołany sen, hoduje także — kury; i być może w tem leży źródło jej moralnej przewagi nad birmańczykiem — umie pogodzić przyjemne z pożytecznym.

Religia jej, to dziwna mieszanina istotnej wiary z przesądem. Przy ujściu rzeki Srawagi do oceanu Indyjskiego leży miasto Rangoon, słynne ze swej największej i najbardziej w Birmie czczonej świątyni. Raz do roku, w czasie wielkiego buddyjskiego święta, tłumy kobiet ciągną ku niej ze wszystkich stron kraju; wiozą je



pociągi, ryksze, łodzie, i dziwnego kształtu wehikuły, zaprężone w małe kuce, lub w powolne, długorogie seku. Przez drżące od krzyków i radosnych śpiewów powietrze przedziera się z trudem poważny bas gongów. Posągi Buddy toną w kwiatach; składane u stóp bogów, ofiary rosną na kształt fal w czasie przypływu. Barwny tłum szaleje w religijnej ekstazie, znacząc niskim pokłonem każdy ruch dostojnych kapłanów.

Gdy święto się kończy, gwarna fala powraca do swych, na krótko opuszczonych chat, i przez cały długi rok, birmanka prawie nie porzuca domowego ogniska. Do miejscowej świątyni chodzi rzadko, ale za to pilnie składa ofiary małym duszkom, zamieszkującym ciała zwierząt, roślin, a nawet rzeczy martwych. Stara się o przychyłność tych tajemniczych istot — jest ona bowiem potrzebna i jej samej, i całej rodzinie, zarówno w doczesnym życiu, jak i po śmierci. Kiedy bowiem w usta nieboszczyka wkłada się pieniądź — mający opłacić przewóz na drugą stronę strasznej rzeki, i kiedy dusza — czarny motyl — porzuca ciało, płynąc ku nirwanie, nieprzyjazny duch może zmylić jej drogę, że będzie wiecznie błądzić bez celu i kresu.

Jerzy Marlicz.

ZUZANNA RABSKA

## DOBRY PASTERZ

N O W E L A

Domek w którym mieszkały hafciarki przytulony był do starej, gotyckiej katedry i gdy odbywała się msza święta, lub nieszpory, izba, w której obie pochylały się nad krosnami, wypełniona była zgłuszoną melodią organów. Monika poruszała wtedy ustami, modląc się żarliwie, co jej nie przeszkadzało dobierać misternie do haftów kościelnych kolorowe jedwabie. Justyna była zawsze milcząca i zacięta, złoścąc się nad każdą zerwaną nitką i o byle co gniewając się na siostrę.

Gdy ukończyły jakiś piękny ornat, dalmatykę, lub mitrę złocistą, z powtarzającymi się symbolami, jako to inicjałami Chrystusa, lub Marji, trójkątem, otoczonym promieniami, barankiem, gołębiem, albo sercem, krwawiącym wśród cierni, obie: piękna, chmurna Justyna i cicha pobożna Monika — czuły w sercach bezbrzeżne szczęście.

Tak upływały lata. Przędły się te lata dla hafciarek z jedwabiu, aksamitów i złota, złożone były z róż mistycznych i serc gorejących. Siostry wchodziły i wychodziły z katedry, rozpinały krosna, dobierały jedwabie i złote nitki, modliły się, pozdrowiały przechodzących pod oknami pątników i czekały z pokorą w duszy na dzień następny. Każdy dzień zakwitał dla

nich, jak róża, która sama dla siebie jest pięknnością. Burze omijały mały domek, przytulony z boku do kolosalnej katedry, nad której budową pracowały całe pokolenia przez pięć wieków z górą.

Gdy trzeba było podmalować twarz Marji, Chrystusa, lub Świętej na sztandarze, ślepy żebrak, przycupnięty, ze szczerbatą miseczką na schodach katedry, szedł na sam koniec wąskiej uliczki po mistrza Grzegorza.

Mistrz Grzegorz nigdy na siebie nie dawał czekać. Przychodził do sióstr w aksamitnej bluzie z pendzlem, paletą i farbami, z wesołym śmiechem młodości i w parę minut na białym, różowym, lub żółtym atłasie uśmiechała się już słodka twarz Świętego, lub Świętej, pomalowana misternie. Należało ją tylko równiutko zaciągnąć cienkimi, bladymi nitkami jedwabiu. Nikt tego nie potrafił robić subtelniej od Moniki. To była jej specjalność. Ręce Świętych i Ich stopy zaciągała Justyna.

Małoż to razy Monika polykała łyzy, nakłuwając cienką igłą oczy Marji i Jej święte usta. Małoż to razy czuła na swych spuszczonej powiekach ukłucia bolesne, kilkanaście ukłuć igielką. Nieraz nie zdziwiłaby się, gdyby za chwilę z pod jej igły broczyć poczęła święta krew drobnymi

kropelkami, czerwieniąc blade, atłasowe nitki!

Justyna uśmiechała się złośliwie. Monika była zawsze egzaltowana i wydawało jej się nieraz, Bóg wie, co. Ciągłe coś koło niej mówiło, pochylało się nad jej robotą, straszło po kątach izby, przemawiało do niej tkliwie i dawało napomnienia. Rozmawiała z jaskółkami, mieszkającymi pod gziemami katedry, wśród kolumnienek, róż kamiennych i liści akanthu, witała pieśnią wchodzący ranek i pozdrowiała księżyc, ukazujący się między strzelistymi wieżycami. Pątników, wędrujących tłumnie do cudownego obrazu, w tłumie witała jak książąt udzielnych. Raz wyznała Justynie, że we śnie przyszła do niej święta Elżbieta z witrażu, żona węgierskiego landgrafa i dała jej do wyhaftowania białą, atłasową poduszkę. Była bosa, w wełnianej sukni, taka, jaka szła w legendzie podczas procesji, między żebraczkami... Potrzebowała haftowanej poduszki dla dzieciątka, które się jej miało narodzić.

Justyna ze złośliwą uciechą powtórzyła sen Moniki mistrzowi Grzegorzowi, gdy ten przybył, aby podmalować twarz świętej Cecylii.

Mistrz Grzegorz nie roześmiał się, tylko swemi pięknymi, czarnymi oczami popatrzył w twarz Moniki,



mieniając się ze wstydu i uśmiechnął się do niej słodczą, jak do dziecka.

— Święta Elżbieta błagała Boga, by w sercu jej zabił miłość dla dzieci, bo chciała tylko służyć Panu—powiedział cicho.

— A widzisz! A tobie się śniła z poduszką dla dziecka! Może z pieluszkami!—drwiła piękna Justyna. Tobie zawsze śnią się małe dzieci.

Mistrz Grzegorz zarumienił się już więcej dnia tego nie spojrział na Monikę. Odszedł, nie dokończywszy podmalowywania rąk i stóp świętej Cecylii.

Ale powrócił nazajutrz, a wtedy zastał samą Monikę, pochyloną nad krosnami.

— Jakżeby piękną była Justyna, gdyby była dobrą—powiedział, wykończając cienkie palce Świętej Cecylii. Dobroć idzie zawsze w parze z miłością. Dobrą będzie Justyna, gdy pokocha...

— Justyna jest piękna, mistrzu Grzegorzu, przecież chyba to widzicie,—szepnęła Monika ze spuszczonej oczami.

— Tak, Justyna jest bardzo piękna—powtórzył malarz. Ale być może, że kiedyś będzie jeszcze piękniejszą.

I zamyślił się.

Monika właśnie zdejmowała z krosien ukończony ornat z białego jedwabiu, na którym krzyż wyhaftowany

był z pęków złocistych lilij, poprządkanych różami. W samym środku lśniła litera M ze czerwonego i zielonego złota.

Mistrz Grzegorz przyjrzał się robocie z bliska.

— Pięknie haftujecie, zaiste,—powiedział olśniony.

— Literę M wyhaftowała Justyna,—powiedziała Monika po chwili wahania. — I dodała: A teraz obie musimy się spieszyć z wykończeniem świętej Cecylii.

I patrzyła na piękną twarz młodego mistrza, czekając, czy czegoś więcej od niego nie usłyszy. Od wczorajszego dnia musiała myśleć tylko o nim, sama nie wiedząc, czemu. Znała go już blisko dwa lata, odkąd zamieszkał w miasteczku, by odświeżać



obrazy w starej katedrze, a od wczoraj wydał jej się inny, zupełnie inny. Dlaczego od wczoraj? Ach, przecież jest chwila taka w dniu, gdy zakwita czerwona róża na krzewie! Zanim rozkwitła, była pąkiem, z którego każdy czar mógł wytrysnąć, a po czasie rozkwitania przechodziła w nicość. Ale podczas gdy kwitła, gdy kwitła,—jak ludzkie serce...

Błada twarz Moniki stała się prawie ładną.

Mistrz Grzegorz patrzył niespokojnie na drzwi.

— Tyle tu róż, jak w ogrodzie,—powiedział wreszcie, patrząc na motyw różany na kremowym atłasie. Szczęśliwi, co wśród róż spędzają życie, gdy w pobliżu huczą burze.

Zamyślił się, poczem nagle schylił głowę i pocałował rękę, która za-trzepotała się, jak motyl.

Drzwi skrzypnęły. Mistrz Grzegorz prędko odwrócił głowę i nie zobaczył rumieńca Moniki, ani jej radosnego przestrachu.

Do izby wsunął się ślepy żebrak ze swoją miseczką, bo to był piątek i od sióstr dnia tego większy datek dostawał.

— Już chyba nie doczekam się siostry,—powiedział mistrz Grzegorz, wstając i z gniewem wrzucił do miseczki żebraka brzęczącą monetę.

\* \* \*

(c. d. n.)

8)

HELENA CEYSINGERÓWNA

# D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

Zdolniejsza od nich sama, prawie nauczyła się czytać, ale nie lubiła książek. „tych dziecinnych“, dopiero jakiś zbiorek wierszy patriotycznych lipskiego wydania, znalezione między gratami, w starym kuferku dał nową i ukochaną karm jej wyobraźni. Ta „Lutnia“ stała się jej książką nabożeństwa w najprawdziwszym znaczeniu tego wyrazu. Nad nią płonęła zachwytem, zalewała się łzami, brała w duszę nienawiść i zemstę za Pragę, Oszmianę, Maciejowice... na niej modliła się o wolność kraju.

Potem zdobyła inne. „Wieczórów pod lipą“ nauczyła się na pamięć w dziewiątym roku życia. Przedtem jeszcze zajrzała do Alkhadara Chojeckiego i nie wszystko rozumiejąc, upajała się, jak narkotykiem, muzyką namiętności, buchającą z kart, poróżkłych, porozrywanych...

Jednocześnie starsze córki Sokołowskich chłoneły powieści z „Kłosów“ i „Tygodnika Ilustrowanego“. Nikt w Gostkowie nie pytał, co czytają, czem żyją dzieci?

O wykształcenie dziewczynek nie dbano wcale. Chłopcom dano guwernera, który miał ich przygotować do gimnazjum, a przy sposobności uczył

i panienki początków arytmetyki, geografii. Była mowa o pensji warszawskiej dla córek, ale brakło wciąż pieniędzy, więc zwlekano z tem, jako z rzeczą niepilną.

Mimo to Wanda umiała, a raczej rozumiała wiele. Były w Gostkowie zapasy książek po bracie Sokołowskiego, zatracęncu powstańczym: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Mochacki, Mierosławski, Barzykowski, i innych wydawnictw emigracyjnych sporo!

W nich utonawszy, dziewczyna ze źródła tego czerpała wszystko, co było do wzięcia. I chaotyczne było to jej kształcenie się i nierówne. Miało wszystkie złe strony samouctwa, ale myśli skrzydlatej nie brało w kluby, pozwalało bujać swobodnie.

I rozbijała się głównie fantazja dziewczyny.

W samotnych wycieczkach zdala od ludzi żyła najpełniejszym, najjaśniejszym życiem. Przyroda mówiła do niej tysiącem dźwięków, czarem linii, grą barw i światła. Morza zbóż, tumany mgieł, otchłanie błękitów królestwem były cudów i piękności, na którego łonie kołysała dziewczyna duszę swoją, rozręsknioną, rozemdloną

niekiedy do niepamięci, do miłosnego łączenia się z duszą świata.

W zachwyceniu takim miały jej nieraz godziny całe; z kąpieli ożywczej w falach nieskończoności wracała silniejsza, cichsza w sobie, jakby bogatsza w moce wewnętrzne.

W dziesiątym, czy jedenastym roku życia zajaśniała jej przed oczyma postać Dziewicy Orleańskiej. Było to nowe olśnienie i coś niby nauka, że Bóg wyznacza zbawców narodom, a do wybranych gromem przemawia i cudem.

Więc pragnieniem wielkiem cudu załkała dusza dziewczyny.

Joanna d'Arcl... Ks. Marek!.. Częstochował... a dziś?..

Cicha jej wiara religijna stała się od tej chwili egzaltowaną i płomienną. Godzinami, na kolanach, we łzach błagała Boga o cud, o kraju zbawienie; czasem w zapamiętaniu dziwnem, prosiła drzew zielonolistnych, zbóż i źródeł leśnych, prosiła jasnych źródeł... by modliły się z nią razem i zdało jej się, że wicher na skrzydłach, w otchłanie niebios niesie modlitwę ogromną, szumny śpiew borów, hymn żalosny ziemi, który uprosić musi cud.



O, nie śmieście wy się z szaleń-  
stwa dziewczyny!..

W szaleństwie takim bywa moc...

Idzie ono czasem nie po ludziach,  
a po świecie Bożym. Zagra niem  
czasem woda wiosenna, ku słońcu  
wieczornemu tak czerwono błyszcząca...

...Zagadają niem w chmurach zó-  
rawiane klucze, z tęsknotą lecące na  
wyraj... płaczem, niewiadomo czym,  
po polu się poniesie... koło tych krzy-  
żów pochyłych, połamanych, czarnych  
bolesne ramiona oplecie...

Wy nie wiecie, a dzieją się czary...  
bóstwa schodzą na ziemię nieznane...

Wy nie wiecie, a świat się prze-  
mienia... kiedy dusza—ptaszyna skrzy-  
dłami zatrzepoce ku ziemiom dalekim...

O widzicie... tam ogród różany...  
tam wiosenną zorzą staw się pali...  
wiązy stare i lipy zielone... tam trzy  
bóstwa stanęły zebrane... tam trzy  
bóstwa święcą wiosny gody...

#### ŻYWIA

Jako się kłoni wiąż ten stary!  
Jako się w wód zwierciadli toni...  
Jako się w słońca blaskach płonił...  
A pieśnię gra!

#### ŁADA I POGODA (razem)

Twoją on, Żywio, pieśnię gra!

#### ŻYWIA

Pogoda błękit rozlała  
w powietrza ciszę...  
Złotem promieni przetkała,  
i wiąż się stary kołysze...  
a śni młodości sen!...  
Łado, twój sen!..  
o świata kształtach!  
Jak cud, wiosenny cud  
wypromienił się z zamarych łon  
tych drzew i łącznych ziół...  
Łado, twojej mocy plód  
wiosenną pieśnię gra.

#### POGODA I ŁADA (razem)

Twoją on, Żywio, pieśnię gra!  
Twoja w nim żywiole życia skra.

#### ŻYWIA

Barwne płatki chylą k'sobie kwiaty.  
i w powietrze ślą wonie upojne,  
i ku sobie miłosne ślą swaty...  
pszczoły złote, ku wiosnie wyrojne...  
Wiosna kwiaty i zioła, i drzewa  
miłosnemi dziś wiąże ślubami,  
a wiatr pieśni miłosne nawiewa!

#### POGODA I ŁADA (razem)

Twoją, Żywio, twoją pieśnię wiew śpiewał

#### ŻYWIA

O, miłosne wy wonne lilije!  
O, miłosne wy kwiaty i zioła!  
Żywia tchnieniem swoim błogosławił!  
Żywia jasna pokonała Niję!  
Wam na życie, na moc błogosławił..

O, miłujcie wy w wiosny dzień złoty!  
O, miłujcie wy czarem upojeń!..  
W przemian wieczny nieskończony szlak  
Przeznaczenie was cichemi łoty  
Niesie drogą miłosnych urojeń  
W Tajemnicy Przedwieszczystej znak..

.....

Na ścieżynę wśród wiązków  
wchodzi „Dziewczynka”. W rękę ma  
obrazek Bogarodzicy. Obrazek wiesz-  
na na drzewie, kłęka i, pień wiążu obej-  
mując rękami, mówi:

Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta  
Boża Rodzicielko, my, którzy już nie mamy  
Ojczyzny! Naszemi prośbami racz nie gardzić  
w niewoli naszej! O Matko Święta i Błogosła-  
wiona! Pocieszycielko nasza! Ojczyznę naszą  
nam wróć! Ojczyźnie życie daj! Módl się za  
nami Święta Boża Rodzicielko, byśmy się stali  
godni obietnic Pana Chrystusowych! Chryste!  
Któryś wskrzesił umarłą dziewczkę! wyciągnij  
ku niej rękę Twoją! Któryś siły i męstwo dał  
pasterce! Ty dobry! Wielki! Ty miłosierny!  
Ona opuszczona od wszystkich, zapomniana!  
Poniżona! Uboga bardzo! Ja pójdę jak Joanna!  
Jak ona — walczyć będzie za kraj mój!  
A nie o sławę proszę Ciebie! Niech imię moje  
zapomniane będzie! Niech o mnie nie wie  
nikt!..

#### ŁADA

Pogodo, promień słońca  
na włos dziecka złoty  
rzuć...

(...Ostatni blask zachodu luną  
jasną pada na głowę „Dziewczynki”...)

#### POGODA

Oto .. promyki ubrana  
jak w kwiaty...

#### DZIEWCZYNIKA

Jeżeli trzeba złożyć ofiarę, Boże, weź  
życie moje! Ja nie chcę szczęścia, sławy,  
miłości... Niech ja będę wiecznie samotna,  
sierota bezdomna i pogardzona!.. Niech umrę  
samotna w nędzy i opuszczona! Ale matce  
mojej, Polsce mojej wróć życie!

(...Łzy płyną po licach dziecka...)

Niech dla mnie nie świeci słońce! Niech  
będę potępiona na ziemi i za grobem potę-  
piona! Ale matce mojej, Polsce wróć życie!



#### POGODA

Cisza w błękitach...  
Na dziecka wołanie  
cisza...

#### ŁADA (do Żywi)

Weź jej zaklęcia  
I w umarłą życie  
Tchnij!  
Niech wstanie  
Kwiat—dziw  
z wiosny objęcia!

#### POGODA

Nie bierz! Zapłacze  
miłosnych snów...  
Dziecię ze słów.  
plecie wiązanki jak z kwiatów,  
a nie wie, co słowa siła...

(Dziewczynka podnosi oczy ku  
niebiosom, jakby czekając znaku, czy  
odzewu.)

#### ŁADA

Już kłatwy działa jad!  
Czara się zakłóć spełniła!  
W olbrzymi czynów świat  
Wwiodę jej duszę  
i kształt marzeniom dam!

#### ŻYWIA

Groby poruszę.  
Umarłej życie dam!  
Przeznaczenia wiekiusty krąg  
znowu w jednym przesunę ogniwie.  
Niech lud jej żywiole,  
A jej życia wstęga ofiarnicza  
Niech się nitką czerwoną przewinie  
W ludu tego bojowych sztandarach!..

Stojąca za dzieckiem postać jej  
rośnie, olbrzymieje, ponad drzewa naj-  
wyższe się niesie, przestwór wypełnia...

#### ŁADA

Znak dajmy dziewczynie,  
że łódź jej snów  
na nurt już wbiegła  
i płynie...

#### POGODA

Każ duszkom dźwięku,  
co płasają mgławce  
po drzew wierzchołkach  
w złotej blasków fali  
uderzyć w listków tarcze zielonawe!..

Słychać z wierzchołków drzew  
kilkakrotne lekkie kłasnienia. Dziel-  
czynka tajemniczym znakiem wyr-  
wana z zadumy, uczuwszy wiew nie-  
skończoności, pierzchła zleknieła. Już  
znika wśród drzew. Zachodzi słońce.

#### POGODA

Zgasły promyki... ostatni w oddali  
gaśnie... tęsknica zazula się żali...

Słychać tęskne wołanie kukulki...  
mrok spływa na ziemię... postacie  
bóstw mgleją, zlewając się z mrokiem  
wieczoru... (c. d. n.).



1

## E M I L V E R H A E R E N

Kiedy przed tronem Wieczności stanie poseł, reprezentujący tę ludzkość, która dziś schodzi już z pola i zaczyna wymierać, to posłem tym będzie Verhaeren!

Jestem w obcowaniu nieustającym ze wszystkimi rzeczami i wszystkimi istotami. Udzielam się wszystkiemu, i wszystko we mnie wnika: występek i cnota—zasługa i błąd.

Słowa temi brał na siebie odpowiedzialność za całą fratrię żyjących z prawem udziału w zyskach i stratach całego pokolenia. Zbudowany na samych kontrastach, jak most na arkadach, pod którymi olbrzymią rzeką przewala się cały świat—dlatego mógł wszystko zrozumieć—a dusza jego:

stała się jak kryształ wiele ścienny, zwierciadłami chłonący wszystkie przeciwności, aby je w sobie stopić.

*Rythmes Souverains Attirances.*

I dlatego przedewszystkiem jest Wielkim Modernistą.

Bo duszę nowożytną cechuje płynność psychiki, przelewającej się bezustannie ze stanu w stan, często-kroć kontrastowo-różny. Jej specyficzną właściwością jest ten dylematyzm myślowy i to wirtuozostwo uczuciowe, które jej zjednało opinię: że nie zdolna nic stworzyć, wszystko potrafi zrozumieć.

Wszzechstronność, do której Modernizm doszedł wyostrzeniem inteligencji u Verhaerena była naturą.

Swoją ogromną duszą wyposażał on licznych swoich bohaterów—a to, co o nich mówi, mówi o sobie:

Ja jestem wszystkim, co jest (śpiewa Herkules na stosie płonący). Góry się we mnie wznoszą, huczą morza i szumią knieje. We mnie są wszystkie namiętności człowieka: jam zło i dobro.

*Rythmes Souverains Hercule.*

To zlewanie się ze światem panteistyczne dotychczas nie jest wszakże niczem wyjątkowym—spotykamy je u wszystkich chyba wielkich poetów. Verhaeren posuwa dalej ekspansję swojego ja. W *Rythmes Souverains L'or* powiada:

Życie we mnie, o wy góry, lasy i rzeki—lecz nadewszystko wy, miasta potężne!

Verhaeren jest trubadurem Wielkiego Miasta, jest urbanistą—i to mu daje drugie prawo do tytułu Wielkiego Modernisty. Bo wielkie miasto jest gniazdem rodzimem wszystkich potęg nowożytnych—to

jest laboratorium nowości—incubatorium przyszłości świata—rendez-vous wszystkich energii, zbiegających się tu na turniej, na walkę bezwzględna, na życie i śmierć, w której nikt nie dba, kto padnie, kto zwycięży, nawet sami zapalnicy!—tak napięty jest szal walczących:

Nie ma czasu rozpatrywać, gdzie prawo, a gdzie krzywda.

*Rythmes Souverains L'or.*

Kartka z *Les Attirances* ma wszystkie cechy osobistych zwierzeń:

O, jak ten gród potworny, tragicznie wspaniały wszedł w niego odrazu z całą swą gorącą mechanicznie! Przemnożył siebie na te wszystkie tłumy i dusza jego stała się ich iloczyn. W nim poruszały się te wszystkie kroki, gesta, tumulty i rozumy. Robił się bogatszy o każdy chód, co idzie, o każdą myśl i czyn. Cuda tych błyskawicznych pociągów z dygotem, dzwonieniem, z pióropuszcami smoków na łbie, o wielkich krwawo w noc wytrzeszczonych ślepiach, grzmiały, pędziły po jego nerwach.

Jego okręty monumentalne, gnące się od ładunków złota, otrębujące marszem tryumfalnym wszystkie porty i oceany tego świata, poruszały się zarówno tam w przestrzeni, jak i w jego wielkiej duszy zdramatyzowanej.

*Rythmes Souverains Attirances.*

A teraz mówi we własnym imieniu:

W tych Wielkich Miastach z haban i mroku, z których wyzwalają się olbrzymie płomienie, w tych wielkich miastach, gdzie jak bałwany morskie szaleją tłumy z ich śpiewem, krzykiem i przekleństwem—w tych Wielkich Miastach nagle struchlałych od krwawej ruchawki, od grozy nocnej—w tych Wielkich Miastach czuję, jak skacze, wznosi się i wylewa nagle serce moje, zwielokrotnione gorączką z trzęsącymi się dłońmi. Gorączka szaleństwa i nienawiści pociąga mnie i toczy, jak kamyk po drodze. Wszelka rachuba upada i znika, serce rzuca się ku sławie czy zbrodni. Czuję nagle, że uciekłem ze siebie samego tam, gdzie woła dziki apel siły zbiorowej.

Apel ten zmierza w przyszłość!

Miasto jest tak stare, napafrzyło się na tyle cierpień życia—tyle razy na swą zajadłość w proch wdeptaną, tyle razy na swą siłę ujarzmioną, że go już nic więcej nie obchodzi, oprócz tego najślabszego, chociażby gestu, ale który w przyszłość zmierza.

*Rythmes Souverains L'acté.*

Przyszłość!! Verhaeren modlił się do niej tak, jak ongi do Boga.

Przyszłości! ty, unosisz mnie, jak pierwszej Bóg!

*Rythmes Souverains La Prière.*

Cała Jego dusza w dal zwrócona utkwiała w niej oczy nadziei i wiary:

Tak ustawicznie do was się zwracam, o ludzie przyszli, dlatego, że wy niezawodnie na bloku prawdy jedynej, którą potraficie wydobyć z wszechbytu, wy ustawicie powszechne porozumienie się ludzkie.

*Forces Tumultueuses Un soir.*

Wiara w przyszłość i ta odwerność na „apel zbiorowej siły“ czynią go par excellence postępowcem i społecznikiem ale, jak całe jego pokolenie, czyli ponownie modernistą. Verhaeren jest wszakże postępowcem w wielkim stylu, gdyż nie tylko z intelektualnej doktryny, on nim jest z rasy i z temperamentu. W życiu nie znosił żadnego ujednolajnienia, widząc w niem grozę skamieniałości w zmechanizowaniu, w rutynie.

„Jeżeli się cofać, to chyba dla nabrania tem większego rozpędu do skoku naprzód, wbrew przyzwyczajeniu, które jest śmiercią“.

*Rythmes Souverains La Prière.*

Ciągle też, kalejdeskopowo zmieniał ludzi i horyzonty, owładnięty charakterystyczną także dla modernizmu gorączką „wciąż nowego“ wywiązującą się w potrzebę podróży. Drogi mu jest wszystko, byle przeciwstawiało się przeszłości, byle zrywało z tradycją. I w tem jest także przedstawicielem całej swojej Współczesności.

Verhaeren przeniósł w przyszłość wszystkie nadzieje—spodziewał się od niej nawet wybóstwienia człowieka.

Wielkie miasto jest zbiornikiem tych wszystkich rzeczy, z których żadna nie pozostała w surowym stanie natury. Wszystko tu jest dziełem ręki ludzkiej. Ten sztuczny ludzki świat jest już dziś tak kolosalny, że w świecie natury stanowi jakby status in statu, że dzieło boskie służy mu już za surowiec. W świecie, który ma za ziemię bruk i asfalt, za horyzont i falistość gruntu amfiteatr murów i kondygnacje dachów—zamiast słońca, którego nie widać, elektryczne księżycy, rozwidniające noc i gaszące księżyc niebieski—gdzie sztuczne organizmy: smoki i ichtiosauiry machin, stworzone przez człowieka z żelaza i stali, ze szkła i drewna,



przebierają łapami kół nieprzeliczonych, sapiąc pierś potworu i zionąc obłoki dymu i pary, z rykiem wściekłości i rozpacz, jakby ogarnięte namiętnością życia, które w nie wstąpiło wraz z ruchem—gdzie widuje się tylko kamień i to sztuczny, gdzie sztuczne są kwiaty i uczucia, gdzie tylko wąski skrawek nieba, w górze pomiędzy szczytami drapaczy, tam, kędyś wysoko nad głową, której nikt do niego nie podnosi, jest jedyną pozostałością i przypomnieniem boskiego świata. W tym sztucznym świecie obracający się ciągle człowiek uległ złudzeniu przesadnej potęgi: omnipotencji ludzkiej. W tych tylko warunkach mogła się urodzić panująca dziś powszechna religja nadczłowieka.

Po długiej ewolucji Verhaeren stał się jej wyznawcą, jak cała jego myśląca Współczesność.

— — — — —  
— — — — —  
— — — — —  
— — — — —

Cokolwiek kiedykolwiek opisywałem (odpowiada Verhaeren na ankietę, dopytującą się twórców o sekreta twórczości) Campagués hallucinées, Villes leutaculaires etc i t. d., opisywałem tylko samego siebie.



Tej olbrzymiej duszy zwykły słownik liryczny nie wystarczał do wypowiedzenia siebie. Tylko potężne formy świata zewnętrznego, stworzone myślą i trudem człowieka, dostarczały jej odpowiednich hieroglifów do symbolizowania duszy. Miasta, klasztory, fabryki, okręty, kuźnie złota i kuźnie pracy, samotne fermy, zgubione w melancholijnych landach, to były kształty, zapożyczone od zewnętrzności do malowania pejzażu duszy. Ale naodwrot i wszystkie te formy brały w siebie jego świadomość, aby wyśpiewać swoją elementarną duszę żywiołów, duszę żelaza i kamienia. Dwie te wielkości wypowiadają się, symbolizując się nawzajem w Verhaerenie.

(c. d. n.).

11)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

## MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—26)

Oprócz dr. Wolfa mieli tam Wołkońscy w pobliżu Trubeckich Mikite Murawiewa, który oddał się cały wychowaniu córeczki, jakby wiedząc, że ją wnet osieroci, zastali też Łunina i Józefa Poggio. Ten powinowaty księżnej wrócił niedawno ze Szlisselburga, gdzie przesiedział osiem i pół roku w tych samych kazamatach co Łukasieński, tylko jeszcze w lepszych nieco od tamtego nieszczęśnika warunkach. Wyszedł z tego żywego grobu znękany skorbutem, bez zębów, zapomniawszy prawie mowy. Zupełnie zapomniawszy mówić Batienkow, którego w 1846 przywieziono do Syberji po dwudziestu latach samotności w twierdzy Petropawłowskiej. Pogrzebano go w tem okropnem więzieniu i zapomiano o nim — umyślnie czy przypadkiem. Ażeby nie zwarjować tłumaczył on Biblię, jedyną książkę jaką posiadał, na wszystkie języki. Słuchając tych okropnych opowieści mogli pytać się wygnańcy, jak to czynił de Vigny:—„Zaliż to jest legenda z czasów Ugolina?” i Wołkońscy mogli jeszcze błogosławić swój los. Biedny Toggio, którego żona opuściła i, korzystając z prawa, co czyniło ją wdową, wyszła za mąż za innego, przyszedł zakończyć swoje męczeńskie życie pod dobrą opieką ks. Marji. Tak samo przyłgnął do nich Batienkow. Starzec — powoli uczący się mówić i obcować z ludźmi, przywiązał się dziwnie rozrzucającem uczuciem do córeczki Wołkońskich, Neli, cudnego i anielsko dobrego dziewczątka.

W tymże czasie przyjeźli Wołkońscy do domu swego Juliana Sabińskiego, konarszczyka, który bezinteresownie czas wykształceniu Michaśa Wołkońskiego poświęcił. Pani Marja nie miała dość słów wdzię-

czności dla tego dobrego i wykształconego człowieka. Matematyki uczył chłopaczka Poggio—języka angielskiego Łunin.

Michał Łunin, z pomiędzy dekabrystów najmocniejszy ponoś charakter „niezlomnym” zwany z dowcipem sarkastycznym na ustach w chwilach najcięższych, miał duszę mistyczną i głęboko wierzącą. W Hiszpanji pono nawrócił się na katolicyzm. Ten „przedziwny” człowiek, żyjący na wygnaniu odludnie, przeziadający dnie całe w lasach, a wieczory nad filozoficznymi książkami, był szczerym przyjacielem i admira-torem ks. Marji. W papierach jego odnaleziono, wśród społecznych i religijnych dySSERTACJI, śliczne opowiadanie: „une heure entre deux abimes” nazywa je Sergiusz Wołkoński (wnuk):

Przechadzka po lesie we dwoje „z Nią”; z pierwszych słów widać, że „Ona” to ks. Wołkońska.

Zgarbiona staruszka szuka po ziemi jakichś ziół — na lekarstwo dla chorego na piersi syna. „Ona” wzywa staruszkę, aby za nią poszła, a dostanie napój leczniczy, istotnie skuteczny. I tu—porównanie.

Jak Hagar na pustyni znalazła anioła, który ukazał jej źródło dla napojenia ginącego z pragnienia syna, tak i ta nędzarka znalazła w „Niej” anioła dla pocieszenia cierpień jej syna.

To wszystko. Ale ileż w tym drobiazgu mistrzostwa i uczucia.

Biedny Łunin nie długo cieszył się świeżą wonią lasów po zaduchu więziennej kaźni. Wpadły w ręce władzy listy jego do siostry Uwarowej, w których ten odważny człowiek, szczerzy przyjaciel Polski, ostreimi piętnował słowa barbarzyńskie wyroki, wydane na uczestników powstania

naszego. Kazano go więzić — a obawiając się jego siły i wiedząc, że jako myśliwy ma broń przy sobie, posłano całą rotę, aby otoczyć w nocy dom śpiącego.

„Wzięła go ta falanga, uzbrojona przeciw jednemu człowiekowi” — pisze z goryczą pani Marja. Z mroków Abatujskiej turmy, gdzie po 4-ch latach męki miał zemrzeć—zagadkową śmiercią, dochodziły jeszcze czasem, ukradkiem przesyłane, po angielsku pisane kartki więźnia a jej przemyślna dobroć zdołała mu przesłać zakazane rzeczy: atrament w proszku, papier, książkę, zegarek. „Bardzo ciężko w nieskończone więzienne noce nie wiedzieć która godzina” pisał był Łunin.

Ostatnią życzliwą twarzą, jaką widział odoosobniony zupełnie, był dr. Antoni Beaupré. Ten przeznacny człowiek, również wielki przyjaciel księżnej, mógł raz, jako lekarz, odwiedzić więźnia. Przegadali ze sobą cały dzień i całą noc. „Wy Polacy szczęśliwi jesteście—rzekł Łunin—bo u was jeden po drugim przychodzą—a myśmy byli samotni”. Istotnie po ruchu dekabrystycznym dopiero działalność „Zemli i woli” miała pchnąć na drogi Sybirskie nowy zastęp. Dekabryści mimo całego ich patryjotyzmu byli to „ludzie zachodu” nie zrośnięci ze swem społeczeństwem, bo zanadto nad jego poziom wyrosli. Za to z Polakami, z którymi zetknął ich los, nawiązywali najserdeczniejsze węzły.

Przychodzili na Sybir—jedni po drugich—ludzie niepowседневnej zgoła miary: konarszczycy, Świętokrzyscy członkowie T-wa przyjaciół ludu polskiego. Przychodzili gorzej sponiewierani od Dekabrystów: zbici pałkami, zmordowani pieszą podróżą



„w łańcuchach“, a pełni hartu i przedziwnej pogody. Za nimi podążały kobiety: nie mniej dzielne od bohaterkich żon dekabrystów. Nie dziw więc, że gorąca dusza pani Marji łągnie do nich, a czasem — zawsze jednakowa z niej entuzjastka — klęka w podziwie.

— „Je me mets à genoux devant son caractère“ — pisze do pani Roszkowskiej o doktorze Beaupré, uczonym „który na Zachodzie byłby może sławą, w Sybirze był — stróżem szpitalnym“. I tak znali go wszyscy jako zdolnego lekarza, i cenili wysoko jego radę.

Mamy przed oczami — dzięki uprzejmości p. Barbary Beaupré: córki czcigodnego Sybiraka — list ks. Wołkońskiej, w którym — wspominając serdecznie o gronie zesłańców polskich zwłaszcza „la belle et charmante M-me Roszkowska que j'aime de tout mon coeur“, \*) radzi się doktora o swoje, coraz bardziej trapiące ją cierpienie, — choroby sercowej.

Mężne serce miała ta kobieta i przetrwało ono wiele strasznych wzruszeń zwycięsko. Aż wstrząsnął nim taki okrutny strach, że od tej pory już normalnie bić nie zdołało.

A stało to się w chwili, gdy życie wygnañców zaczęło płynąć spokojnie i prawie szczęśliwie, gdy osiedlili się w własnym, drewnianym ale cichym domu i ciężka przeszłość zaczęła się zasuwać w zapomnienie.

Było to w 1842 roku.

General gubernator Syberji Zachodniej, Rupert zawezwał Sergjusza Wołkońskiego, Trubeckiego, Murawiewa i wszystkich żonatych zesłańców. Księżna odrazu domyśliła się, że chodzi o dzieci. „Nie umiem opisać, jakie męczarnie przeszedłam, zanim nasi panowie wrócili. Mąż, wysiadając z wózka, rzekł do mnie: „Zgadłś. chodzi tu o nasze dzieci“.

„Chcą je wziąć do Rosji, pozbawić nazwiska i umieścić w szkołach rządowych“.

— „A czy wydano rozkaz aby wziąć je siłą?“

(Jaka straszliwa trwoga w tem pytaniu:)

— Nie, cesarz proponuje to tylko matkom“.

(Była to „łaska“ z okazji zaślubin następcy tronu, okrutna Mikołajowska „łaska“).

Księżna odżyła.

— Porwałam dzieci i, obejmując je, mówiłam:

„Nie, wy mnie nie opuścicie, nie wyrzkniecie się nazwiska ojca“. Ale Sergjusz zaczął się wahać. Twierdził, że niema prawa pozbawiać dzieci możliwości powrotu do ojczyzny.

a. d. n.).

K. Bielańska.

K. F. B.

## FOTOGRAFJE Z PODRÓŻY

Wiedeń, czerwiec 1924.

Nad dawną stolicą Habsburgów świeci pogodne słońce i tak się zdaje, jakby dawna, niefrasobliwa pogoda wróciła w serca ludzi. Niedawno jeszcze widziało się Wiedeń powojenny, głodny, zły, ani śladu sławionej dobroduszości i beztraski. Dziś tylko brak szyb, potłuczonych w czasie głodowych rozruchów na Kärtnerringu, przypomina ciężkie czasy. Zresztą ogrody zielenią się jak dawniej, śliczna fontanna na placu Schwarzenberga bije srebrną rosą, a przez Ringi przelewa się tłum ruchliwy, wesoły, gwarny. Jednak widzi mi się, że dawny „szyk“ wiedeński zbladł trochę i dobrze ubrana warszawianka zwróciłaby uwagę publiczności. Jeszcze bardziej różnica uwydatnia się, gdy obserwujemy ekwipaże. Bożel cóż za fizjonomie rozpierają się w tych eleganckich „Wiener fiakrach“, umajonych girlandami róż i buldenezów.

Czy to jakie korso kwiatowe? Nie! — to stary zwyczaj wiedeński obwożenia „firmingów“, bo przecież jest dziś wtorek po Zielonych Świątach, kiedy obchodzi się tu uroczystość bierzmowania młodzieży. Zwyczaj każe, aby „rodzice chrzestni“ bierzmowanego chłopca lub dziewczynki („göde“ nazywa się matka chrzestna w dialekcie tutejszym) po ceremonii brali swego pupila do cukierni, a następnie obwieźli po mieście. Otóż z dawniejszej, mieszczańskiej, sympatycznej uroczystości zrobiła się teraz parada „nouveau riche'ów“ krawców, szewców, czasem nawet stróżów, którzy wysadzają się na przepych w ustrojeniu ekwipaży, no i w obiadaniu się przysmakami. „Co chcesz zjeść moja dziecino?“ — pyta nieszczęsny „Göde“ rozkapryszony chrzestniak.

— Piwo, lody, tort (tuorte) i kielbaski! — odpowiada pociecha. „Firmingowi“ niczego odmówić nie można, więc skutki takiej uczty są żalosne niekiedy, a w każdym razie obrzęd ten obecnie nie przynosi korzyści religijności, ani nie przyczynia wdzięku ulicy. Dodać jeszcze trzeba, że każde takie wystrojone przeraźliwe dziecko (choćby miało już lat kilkanaście) musi mieć również w ręku balon na sznureczku, ale balon olbrzymi „monstre“. W krótkiej chwili naliczyłam dziesięć takich ekwipaży przejeżdżających.

O kilka kroków od Ringów nowy charakterystyczny obrazek. W miejscu, gdzie był cichy prywatny park księżnej Bologna i który później przeszedł na własność arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, zabitego w Serajewie — ruchliwie teraz i gwarno. Park został upaństwowiony, w części stanął domy robotnicze, część będzie ogrodem pu-

blicznym, w jednym kącie urządzili sobie stróżę sąsiednich kamienic ogródki warzywne. Zresztą były park jest otwarty dla wszystkich i siedzą sobie tam panusie z robótkami w ręku, na stołeczkach, które z sobą przyniosły; dzieci bawią się wesoło... i to była sielanka proletariacka, nawet dość miła. Ale poza tem — pełno śmieci, śmietnik poprostu ogromny! i to na dwa kroki od najwytworniejszych ulic wielkiego miasta. Smutna uwaga nasuwa się: jak bardzo człowiek zabrydza to — czego się dotkniesz!

Przed rokiem Wiedeń miał sławę najdroższego miasta w Europie, dziś zdaje się ten smutny rekord wzięła Warszawa, a tu jest trochę taniej, zwłaszcza dostępnejsze są jarzyny i owoce, dzięki mnóstwu doskonale utrzymanych ogrodów, otaczających stolicę. Ubrania, materje wydają mi się w tej samej co u nas cenie. Wystawy barwne i ładne, dużo motywów ludowych, nawet słowiańskich (południowych i węgierskich), użytych w tak bardzo modnych haftach włóczkowych, ozdabiających suknie letnie i ubranka dzieciinne. Wielkie, szkockie kraty czynają wypierać tureckie i egipskie wzory. Szale, których się widzi tyle w Warszawie, tu już zanikają, zanadto się opatrzyły. Wnet wyludni się miasto, spiesząc w góry lub nad morze, więc też na wystawach pełno ubrań kąpielowych i sukienek góralskich bardzo efektownych.

## Wystawa prac uczniów państwowej szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem

SALON SZTUKI CZ. GARLIŃSKIEGO

Czerwiec.

Radosną niespodzanką jest ta wystawa — i objawieniem źródła, świeżej, własnej twórczości, bardzo polskiej, lecz nie mającej nic wspólnego z szablonem, który się za polski uważa, będąc w istocie tylko rodzimie płytkim i tanim, eksportowym i nudnym, aczkolwiek niby ze swojskości wypływającym.

Uczniom tej szkoły, od roku prowadzonej przez p. Karola Stryjskiego, udało się przystąpić bezpośrednio, prosto i odważnie, bez wahań i bez balastu wspomnień (i wiedzy): w rzeźbie — do zagadnienia bryły i kształtu, — w malowankach i drzeworycie — do sprawy barwy i dekoracyjności.

Chłopcy ci, kilkunastoletni górale, uczynili nieświadomie skok poprzez cały realizm i jego liczne odmiany, do sztuki najbardziej współczesnej, syntetycznej, skupionej i w pewnym stopniu klasycznej.

\*) Była to p. Antonilla z Pfaffinsów „Róża Syberji“ zwana, w pamięci wygnañców żyjąca jako istota pełna wdzięku i szlachetności.



W tem bezwiednem przewyciężeniu przez nich sztuki wczorajszej, którą świat jest już—znużony i przeżyty—w przejściu ponad drobniawą naśladowczość rzeczywistości, do uogólnień, do zaobserwowania z a s a d kształtu, ruchu, bryły, jest coś prawie cudownego. Jest to bardzo ważny etap w przejawianiu się wielkich zdolności plastycznych górala; nie dalszy ciąg „stylu zakopiańskiego“, który wpadł w szablon po przejściu okresu zasłużonego powodzenia, lecz nowy wybuch twórczy, oparty o zasadnicze pierwiastki przyrody miejscowej i człowieka, prawie pra-człowieka polskich gór.

Jeden z artystów mówił o tej wystawie, że rezultaty, osiągnięte przez młodych górali w rzeźbie, zdumiewają skończonością i jasnowidzkiem rozwiązywaniem zagadnień, nad którymi głowią się współcześni artyści zachodu. Rozstrzygnięcia, do których prowadzi tam żmudna praca intelektu—tu zrodziły się ze świeżego, nieobarczonego żadną uświadamianą przeszłością, daru plastycznego.

Świeża, młoda i mocna ta sztuka jest bliska abstrakcyjnej sztuce starożytnego Egiptu. Drewniane figurki wystawy czynią wrażenie wykopanych archaicznych posążków, dzieł epok dawno minionych i produktów rasy, plemienia, nie narodu i jednostki—po bliższem jednak rozpatrzeniu wykazują bardzo wiele cech rdzennie polskich i słowiańskich.

Człowiek miejscowy: góral i góralka — to zasadniczy temat tych rzeźb—człowiek wystylizowany, pozbawiony jednostkowej indywidualności,—góral dawny, zbójnik w bohaterskiej czapie, w ruchu tanecznym, w zastygłej powadze stojący, lub dźwigający ciężar; góralka—madonna z Chrystusikiem lub dwoma dzieciątkami, albo tanecznicą, ujmującą końcami palców kielicha szerokiej spódnicy, albo niosąca ciężar, kaczkę, lub gęś. Kobiety mają na głowie koronę kwiatową, z lelu, przeistaczającą się w niektórych rzeźbach, w olbrzymi wieniec, podobny do monstrancji (mam na myśli małą rzeźbę, u której ozdoba głowy jest prawie wielkości postaci, dającej się ledwie odnaleźć w spiętrzeniu falistych linii; rzeźba cała tworzy dziwaczną kompozycję, przypominającą wieloramienne bóstwa wschodu).

Zwierzę nie występuje samodzielnie; zjawia się jako szczegół dekoracyjny, np. wiewiórka lub kuna na czapie, albo jako dodatek na dźwiganym tobole.

Posągi o treści religijnej: Matka Boska, Trójca św., św. Rodzina, różnego rodzaju adoracje, owiane są pierwotnem, pogańskiem tchnieniem.

We wszystkich tych robotach odczuwa się artystów, przystępujących do materiału chętnie, zdrowo, z zacięciem, bez ceregielów, a już tem więcej bez wyrafinowania. Jest to sztuka prosta — i arystokratyczna, —

nowa, a jednak powstała z bardzo dawnych, utajonych i w całej czystości przechowanych pierwiastków starej rasy. Miasto nie mogłoby dać tego rodzaju sztuki.

Znalazłam się w roku ubiegłym po zachodzie słońca w jakiejś dolince na Podhalu. Było tam małe osiedle góralskie; płynął wartko kręty potok, nad tym potokiem krążyło paru starszych górali, zajętych pojeniem koni. W swych białych portkach i guniach, w małych kapeluszach, z pod których spływały długie włosy, poruszali się spokojnie i harmonijnie, jak książęta; czynili swą pracę z wielką godnością i bez pośpiechu, a jednak skończyli ją prędko. Przyglądając się im, doznałam wrażenia, że stoję wobec reliktyw ludzkich szczególnej i wytwornej całości, którąby można nazwać kulturą.

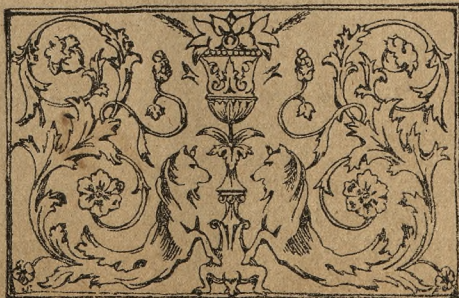
Rzeźby szkoły świadczą raz jeszcze o bogactwie duchowem tego pięknego ludu. Motyw wysiłku i dźwigania powtarza się kilkakrotnie i daje okazję do wydobywania bryły, do wspaniałego odlania masy ciała, wysilającego się, zgiętego pod ciężarem kuli i wspartego dłońmi na wielkiem kiju. Wysiłek działa suggestyjnie; głowa bez twarzy zdaje się jednak wznosić z umęczeniem wzrok. Rzeźba ta jest par excellence abstrakcyjna. Podobny charakter nosi postać górala w wielkiej czapie (na niej łasicą) ze wzniesionymi rękami, rzeźbiona w ciemnem drzewie — istny posążek pogańskiego boga — rzecz bardzo skończona.

Rzeźby te nie są portretami, nie dają nawet typu; raczej różnorodność brylowatości, syntetyczny wyraz duszy: ostrość, zapatrzenie, skupienie, powagę. — Opanowanie materiału i formy, jakie wykazują,—wyklucza wszelką naiwność.

Obok rzeźb — drzeworyty i malowanki, japońskie w barwach, miłe, opowiadające co do treści, wycinankom w doborze kolorów i ostrości zarysów, niektóre, przypominające obrazy, malowane na szkłe. Naiwne te kompozycje mają dużo poczucia barwy, pewną tendencję do rytmiczności; są bardzo dekoracyjne.

Drzeworyty czarno-białe są od nich doskonalsze. Mamy w nich sztukę wybitnie dekoracyjną, płaską, bez światła i cienia, bez perspektywy, z kapryśną płataniną ludzi, zwierząt i roślin, jak na minjaturach średniowiecza.

N. Samotyhowa.



## RADNE M. WARSZAWY.

W warszawskiej Radzie Miejskiej zasiada 9 kobiet.

Na prawicy spotykamy: doktorową Pawińską, znaną działaczkę społeczną, długoletnią pracownicę w Tow. Kolonij Letnich dla dzieci, dr. J. Jastrzębską i p. Kołaczkowską, przewodniczącą Chrześcijańskiego Tow. Ochrony Kobiet

Na lewicy i w centrum, widzimy przewodniczącą Klubu politycznego Kobiet postępowych, dr. Budzińską-Tylicką, p. Jahołkowską - Koszutską, posłankę do Sejmu p. Praussową, p. Jaworowską i adwokatkę p. Iwińską (żydówkę). Nadto z ramienia socjalistów — sjonistów (Poale — Syon) znajduje się w Radzie Miejskiej p. Steinowa.

W przeciwieństwie do tego, co słyszymy o samorządach miast angielskich, wpływ kobiet w Radzie m. Warszawy nie zaznacza się dotąd dość silnie.

Być może, że jest to w związku z małą w ogóle produkcyjnością Rady i władz miejskich, które często pożyteczne inicjatywy składają do lamusa, zachowując je na przyszłość. Zauważyć jednak należy, iż wśród pań radnych znajdują się i takie, które przez cały ciąg swego urzędowania ani razu w żadnej sprawie nie zabrały głosu, inne przychodzą bardzo rzadko na posiedzenia, zaabsorbowane widać ważniejszymi pracami i t. d.

A szkoda. Zakres spraw miejskich jest bardzo właściwem polem dla intensywnej działalności kobiet.

## Z PRACY ZIEMIANEK.

Na niedawnym zjeździe Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek główna instruktorka włościańskich kół Ziemianek p. Morzkowska złożyła sprawozdanie ze swej działalności. Wyjmujemy z niego kilka ciekawych uwag i momentów.

Instruktorka jest zdania, że przy organizowaniu kół unikać należy podsuwania przyszłym stowarzyszonym li tylko korzyści materialnych, jakie bezpośrednio z przynależności do kółka osiągnąć można.

Jest to działanie na krótką metę i mści się później fatalnie.

Przeciwnie, należy otwarcie i szczerze stanąć na gruncie ideowym, podkreślając zresztą korzyści solidaryzmu. Lepiej z początku mieć kółka nieliczne, ale złożone z kobiet skłonnych do pracy oświatowo-samokształceniowej i mających dobrą wo-



łę do wprowadzenia ulepszeń w zakresie wychowania, higieny, gospodarstwa.

Takich kółek nielicznych i powolniej, ale za to racjonalnie rozwijających się założyła instruktorka w r. 1923—28. Z tego — w Ostrołęckiem 4, Węrowskim 2, w okręgu Grodzieńskim 7, w Turkowskiem 1, w Radzyńskim 2, w Sieradzkim 2, w okręgu Łasko-Zduńsko Wolskim 1, w Kutnowskim 1, w okręgu Kaliskim 3, w Jędrzejowskim 4, na Wołyniu 1.

Instruktorka starała się przekonać stowarzyszone, że korzyść materialną ze związku osiągnąć mogą tylko własną pracą, a więc przez zakup miedlic, gremplarek, apteczek, maszyn pończosznich, czapniczych i t. p. które stają się źródłem dochodu dla Kółka.

Tkactwo miało w kółkach tych największe powodzenie.

Wyrobami swymi zasilały kółka kooperatywy lub miejscowe składy w Grodnie, Płońsku, w Wyszku nad Bugiem.

Kursy szycia, gospodarstwa, robót i porządków domowych; organizowane przez instruktorkę, to drugi dział jej pracy. Zwiedzanie okręgów i dawanie wskazówek instruktorkom miejscowym stanowi dział trzeci.

Ciekawy spotykamy szczegół w raporcie instruktorki. Teatry amatorskie i gry towarzyskie, prowadzone na kursach, przyjmują się bardzo dobrze wśród młodzieży ludowej; rugując t. zw. „muzyki”, połączone zawsze ze spożyciem alkoholu. Walka z alkoholizmem, wchodząca w program działalności Kół Ziemianek, znajduje wśród kobiet wiejskich gorliwe pionierki.

Raport powyższy niezmiernie jest interesujący, ponieważ daje bliższe, dokładniejsze pojęcie o pracy Ziemianek, niż suche, najeżone cyframi sprawozdania. Biję z niego życie.

## REZOLUCJE ZJAZDU NARODOWEJ ORGANIZACJI KOBIET.

W ostatniej dekadzie czerwca odbył się w Warszawie zjazd Narodowej Organizacji Kobiet. Organizacja ta jest związkiem o charakterze politycznym, kierunku prawicowego. Udział jej w ostatnich wyborach do Sejmu zapewnił w wielu miejscach zwycięstwo listy Chrz. Jedności Narodowej. Rezolucje Zjazdu noszą też w dużym stopniu charakter polityczny.

Brzmia, jak następuje:

1) N. O. K. wzywa swoje członkinie do szerzenia wśród społeczeństwa idei państwowej, oraz rozumiejąc jej znaczenie dla państwa uważa wszechstronną pracę w tej dziedzinie za swój pierwszorzędnny obowiązek.

2) Wobec przeciwności państwowej działalności, szerzącej się na kresach wschodnich bezkarnie, N. O. K. wzywa komisję do spraw kresowych do

wejrzenia w te sprawy i załatwienia ich w myśl interesów państwa.

3) Zjazd potępia i zwalczać będzie konsekwentnie wszelkie usiłowania rozbicia jedności obozu narodowego dla interesów partji lub osobistych.

4) N. O. K. wzywa swoje członkinie do szerzenia idei oszczędności, bez której ani sanacji skarbu, ani uzdrowienia ekonomicznych stosunków być nie może.

5) N. O. K. wzywa min. oświaty do utrzymywania w szkołach żeńskich programów naukowych, równorzędnych stosunkowo do szkół męskich. Uwzględniać one winny różnorodność typów szkół średnich, nie zacieśniając ich do jednostronnego rozumienia roli i powołania kobiety.

6) Zjazd N. O. K. wzywa wszystkie swoje oddziały oraz poszczególne członkinie do zdwojonej czujności w obronie zasad wiary naszej oraz do przeciwstawienia się walce wrogów Chrystusa i Kościoła.

7) Zjazd N. O. K. uchwała: a) stanowczy protest przeciw zamiarowi unicestwienia ustawy przeciwalkoholowej; b) domaga się od Rządu i Sejmu istotnej i bezwzględnej walki z pijaństwem, grożącym zgonem narodowi; c) w imieniu milionów swych siostr wzywa posłów i senatorów, aby nie dopuścili do unicestwienia ustawy przeciwalkoholowej, będącej chlubną kartą naszego prawodawstwa; d) wzywa wszystkie organizacje w państwie bez różnicy przekonań do wspólnej akcji w obronie ustawy przeciwalkoholowej.

## W SEJMIE.

Dn. 2 lipca posłanka Ładzina (Z. L. N), z okazji wniesienia przez Senat poprawek do ustawy o pracy kobiet i młodocianych, broniła stanowiska Komisji, a poza to wniosła rezolucję, wzywającą Rząd, aby jaknajrychlej przedłożył ustawę o uczniach, terminatorach i praktykantach.

H...a



## JAPONKI ŻĄDAJĄ PRAW WYBORCZYCH.

W Tokio odbył się kongres japońskich stowarzyszeń kobiecych, w którym brało udział czterdzieści cztery stowarzyszenia. Przewodniczącą kongresu, pani Kodama, wybitna działaczka obozu feministycznego ja-

pońskiego, powiedziała w zagajeniu co następuje:

„Przeminął już ten czas, w którym kobiety japońskie żądały praw wyborczych, powołując się na hasła, przychodzące do nas z Europy i Ameryki. Dzisiaj japonki żądają tych praw, nauczone gorzkim doświadczeniem doznawanych krzywd i niesprawiedliwości, które je spotykają zarówno w dziedzinie życia społecznego, jak i we wszystkich innych dziedzinach”.

W rezolucji kongresu uchwalono opracowanie projektu ustawy o rozszerzeniu praw wyborczych na kobiety i o dopuszczaniu kobiet do stanowisk administracyjno-prawniczych. Oba te projekty mają być przedłożone parlamentowi na jego najbliższej sesji.

## KOBIETA CZŁONKIEM SENATU UNIWERSYTECKIEGO W INDJACH.

Czytamy w piśmie feministycznym kobiecym hinduskiem „Stri Dharma”, że uniwersytet w Madras obrał na członka senatu pierwszą kobietę, jakiej dotychczas udało się uzyskać tę godność. Jest nią pani S. Radhabai Zamindarini z Kumaramangalam.

## „POTRZEBA NAM POLICJANTEK”!

Organ katolickiego stowarzyszenia kobiecego w Anglii „St. Joan's Social and Political Alliance” (Związek polityczny i społeczny imienia Św. Joanny) „The Catholic Citizen” zamieszcza wiadomość o meetingu, który się odbył niedawno w Londynie pod hasłem „Potrzeba nam policjantek”! Mówczyrnie podkreślały konieczność rekrutowania i powiększania kobiecych kadr policyjnych. Zdaniem ich, kobieta — przestępczyni powinna stykać się jedynie z kobietą — policjantką, zarówno w sądzie, jak i w więzieniu przed sprawą sądową. Również kobiety powinny być używane do konwojowania przestępczyń podczas dłuższych podróży. We wszystkich sprawach tego rodzaju, jak dzieciobójstwo, ukrywanie macierzyństwa, znęcanie się nad dzieckiem i t. d. — rola policjantki — kobiety jest niezmiernie ważna i w żadnym razie nie może ona być tu zastąpiona przez mężczyznę. „Doświadczenie wykazało” konkluduje jedna z mówczyrni „że wszystkie wyżej wymienione funkcje były doskonale spełniane przez policjantki. Powinny zatem wszystkie kobiety domagać się rozszerzenia kadr policji żeńskiej. Jes to paląca potrzeba chwili”!

## POSTĘP W KOREI.

„Korean Mission Field”, pismo religijne, wydawane w Korei, podaje interesujące zestawienie zdobyczy, osiągniętych w przeciągu ostatnich lat, dziesięciu na polu równouprawnienia kobiet w Korei. I tak np. liczba dziewcząt koreańskich, uczęszczają-



jących do szkół elementarnych, podniosła się z czterech tysięcy na czterdzieści tysięcy z górą; młoda dziewczyna, wychodząca za mąż, nie może już obecnie być do tego przymuszana przez rodziców, którzy są obowiązani uzyskać przed ślubem zgodę córki na zawarcie tego małżeństwa. Koreanki mają już prawo podróżować same, załatwiać sprawunki na mieście, zaślony, które dotychczas dzieliły kobiety od mężczyzn w lokalach publicznych, zostały usunięte; coraz częściej spotyka się kobiety, pracujące w sklepach, fabrykach, zakładach przemysłowych i t. d.; koreanki, które przyjęły chrześcijaństwo, pracują też gorliwie na polu misyjnym, zastępując pod tym względem przybyszów z Europy. Przed dziesięciu laty — kończy autor artykułu — nie było w Korei ani jednego stowarzyszenia kobiecego: obecnie jest ich 58, oficjalnie uznanych i zalegalizowanych przez rząd.

### SAMOBÓJSTWA w AMERYCE.

Przerazającą poprostu jest ilość samobójstw w Ameryce, a liczba ich wciąż wzrasta z każdym niemal miesiącem. W zeszłym roku — wedle danych statystycznych — było w St. Zjednoczonych 12948 wypadków samobójstwa. Połowa tej cyfry przypada na kobiety. W wielu wypadkach powodem targnięcia się na swe życie były tragedie na tle uczuciowym i rodzinnym, zdarzały się jednak fakty samobójstw (zwłaszcza u bardzo młodych kobiet i dziewcząt) z pobudek tak błahych, że byłyby prawie humorystyczne, gdyby nie były jednocześnie głęboko tragicznymi. I tak np. pewna młoda dziewczynka odebrała sobie życie, gdyż — jak twierdziła w pozostawionym liście do rodziny — nie mogła przeżyć śmierci ulubionego kanarka. Inna znów młodziutka pani, w parę miesięcy po ślubie, popełniła zamach samobójczy z powodu, iż małżonek jej nie pozwolił... obciąć sobie włosów, wedle nowoczesnej mody. Inna żona pozostawiła, umierając, kartkę z temi tylko słowy: „Niech będą przekłeci mężczyźni“.

Wszystkie te chorobliwe objawy jakiejś psychozy, nurtującej społeczeństwo amerykańskie, świadczą iż naprawdę bardzo źle się dzieje w kraju, który niejednokrotnie nam się wydaje godnym podziwu i zazdrości.

### WDOWA PO ARCYKSIĘCIU RUDOLFIE HABSBURSKIM.

Hrabina Stefanja Ronay, wdowa po arcyksięciu Rudolffie habsburskim, znajdująca się obecnie w Reims, zapadła, o ile się zdaje, na ciężką chorobę umysłową, o symptomatach zbliżonych do tych, na które cierpiała jej ciotka, cesarzowa meksykańska, Karolina.

Cały szereg ciosów, który spotkał nieszczęśliwą tę kobietę, a miano-

wicie: śmierć ukochanej siostry, księżny Ludwika Koburskiej, i rozwód córki Elżbiety z księciem Windisch-Graetz — wpłynął prawdopodobnie niekorzystnie na stan jej zdrowia i przyspieszył wybuch choroby, do której zapewne mieć musiała dziedziczną skłonność.

### NAŚLADOWCZYNI AMERYKAŃSKIEJ BANDYTKI.

Słynna bandytka amerykańska „piękna Helena“, o której pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów, i która, zaaresztowana przez policję amerykańską, odsiaduje obecnie karę ciężkiego więzienia wraz ze swym małżonkiem, znalazła rywalkę i naśladowczynię, w postaci niejakiej Wiavin, która usiłowała uwolnić swego męża, skazanego za morderstwo, z więzienia w Nowym-Yorku i udało się jej ten zamiar skutecznie.

Uwięziony małżonek Wiavinowej zażądał widzenia się z szeryfem (szeryfem policji) pod pozorem złożenia niezmiernie ważnych zeznań. Przeprowadzono go przeto pod eskortą policji z więzienia do kancelarii szeryfa. W chwilę potem przed drzwiami tego gmachu zjawiała się Wiavinowa, która również domagała się widzenia z szeryfem dla poczynienia jakichś interesujących rewelacji. Policja wpuściła ją do kancelarii, nie podejrzewając nic niezwykłego. Tymczasem, skoro tylko Wiavinowa ujrzała swego męża, stojącego przed biurkiem szeryfa, porozumiała się z nim błyskawicznym spojrzeniem i, wyjąwszy dwa rewolwery, skierowała je na szeryfa, nie spodziewającego się bynajmniej takiej napaści. Jednocześnie Wiavin otworzył drzwi, prowadzące ku wyjściu, i jednym skokiem znalazł się na ulicy. Żona jego usiłowała również zbiec, zatrzymali ją jednak przywołani przez szeryfa policjanci. Oczywiście została ona uwięziona, na ślady jednak jej małżonka policja dotychczas natrafić nie zdołała.

### CENA UŚMIECHU.

Artystka liryczna francuska, Jane Lugan, uległa nieszczęśliwemu wypadkowi samochodowemu, który pokrył jej piękną twarzyczkę bliznami i zszpecił najzupełniej to, co uważała ona za największą swą ozdobę: jej uśmiech. Praktyczna niewiasta zwróciła się tedy do sprawcy katastrofy, właściciela fabryki samochodów w Marsylii, pana Videla, który ją namówił na ową fatalną wycieczkę z Lyonu do Plombieres, i na domiar nieszczęścia, sam kierował samochodem — z żądaniem odszkodowania „za zszpeczony uśmiech“. Wobec odmowy p. Vidala wytoczyła mu sprawę sądową, żądając sumy 850.000 franków. Sąd przychylił się do jej żądania i orzekł, iż przysługuje jej prawo do odszkodowania, uznał jednak cenę uśmiechu za zbyt wygórowaną i zredukował ją do 20.000 franków.

Z. B.

## Z TEATRÓW

### TEATR ROZMAITOŚCI.

„Nieprzyjaciółka“. Komedja w 3-ach akt. Dario Nicodemi'ego. Przekład J. Jachimeckiej, reżys. Paweł Owerłło, dekoracje A. Aleksandrowicza.

Zapowiedziana na ubiegłą sobotę premiera w teatrze Rozmaitości wywołała wśród publiczności warszawskiej duże zainteresowanie; — pociągało pióro Nicodemi'ego.

Świetnie przeprowadzona ekspozycja aktu pierwszego „Nieprzyjaciółki“ z mocno zawiązującym się węzłem dramatycznym skupiła i wytyczyła uwagę widzów. Jasno i wyraziście zarysował się kościół, mającej się rozwinąć akcji między dorosłymi synami i matką, matką kochaną i ubóstwianą. Wielki majątek magnacki, świetne nazwisko, splendory, dziedzić to wszystko syn najstarszy, który prócz wszystkich darów natury otrzymał jeszcze jeden tajemniczy dar — bezwiednego podbijania serc ludzkich. Kochają i wielbią go wszyscy: służba, znajomi, kobiety, rodzina, — cały świat. „Życie szaleje za tobą“ powtarzają mu wszyscy. I tylko... i tylko jedno serce zamknęło się dlań na zawsze, jedne tylko oczy patrzą nań z zimną ironją i tylko z jednych ust nie padną nigdy słowa miłości lub przyjaźni: — to matka. Gdy został pełnoletnim, i gdy na mocy testamentu ubóstwiającego go ojca został dziedzicem nazwiska i fortuny — matka znenawidziła go, cała jej miłość macierzyńska skupiła się na młodszym synu, Gastonie, dla Roberta została tylko źle tajona, żywiołowa wrogość. Już w pierwszym akcie uchyla się rąbek tajemnicy. Z ust odrzuconej kobiety, córki notariusza, dowiaduje się Robert, że źródła nienawiści matki trzeba szukać w tajemnicy jego pochodzenia.

Wartki biegu aktu pierwszego wprowadził widza w tempo — które z dużą przykrością trzeba w akcie drugim zmienić na znaczenie powolniejsze — by wreszcie w akcie trzecim wysłuchać kilku tyrańskich melodramatycznych — które już ostatecznie gaszą siłę wrażenia. A szkoda, wielka szkoda, tem większa, że wina spada nie tylko na autora, ale i na aktorów. Można było zatuszować błędy autorskie, można było mocniej podkreślić zalety konstrukcji sztuki i temsamem wzmocnić słabnące w drugim i trzecim akcie wrażenie. W myśl zresztą niezupełnie udanych intencji autora w akcie drugim mamy potęgujące się napięcie dramatyczne — w rozmowie matki z Robertem. Matka łamie przysięgę, daną umierającemu mężowi, i zdradza synowi tajemnicę jego pochodzenia: „jesteś nieprawem dzieckiem mego męża, przyjąłem cię i usynowiłem przez miłość dla twojego ojca, a ty, intruz w tym domu, zabrałeś całe dziedzictwo mego jedynego syna, zabrałeś wszystko, i wszystkich, zabrałeś fortunę, nazwisko, serce dziewczyny, którą kochał Gaston, serca wszystkich ludzi — za to cię nienawidzę“.

Po tym wybuchu następuje w akcie trzecim ostatni, najsilniejszy i... bądźmy szczerzy, najbardziej nieudany! Złamana przysięga mści się. — Na wojnie, w szeregach francuskich ginie ukochany syn Gaston — szepcą w chwili konania jedno, jedyne słowo „Mamo!“ z tem słowem wraca z pola bitwy do matki — Robert. Szkoda tylko, że prócz tego słowa Robert przywozi z sobą melodramatyczną tyradę — którą p. Węgrzyn przepoił takimi łzami i drżeniem głosu, — że robiło się naprawdę... smutno! Ten przykrý łzawo-dystygowany tonik nie odstępował Węgrzyna ani na chwilę w akcie drugim i trzecim — zacierając doskonale wrażenie — które uczynił na widzach w akcie pierwszym. Coprawda nie dziwnym się rozpacz w głosie Węgrzyna, gdy ze słowami miłości synowskiej zwracał się do matki, p. A. Rotter-Jarmińskiej — do której mógł tylko, wraz z całą publicznością czuć wyraźną niechęć. Tak grać — jak grała p. Rotter-Jarmińska w stołecznym teatrze poprostu nie wypada. Bardzo „początkiaco“ wyglądała p. Zofia Lindorówna i tylko p. Irena Horwat, jako babka, i p. M. Dalepianka — jako córka notariusza, ratowały ogólny poziom ról kobiecych.

W małej roli Kardynała pan Kotarbiński był bardzo stylowy, a pan Owerłło — jnko notariusz, dał postać starannie wykończoną i dobrą.

A.



# NOWY DOM

## PRANIE.

Bielizna naszych prababek, wonna lawenda przesypana w głębokich komodach i kufrach, służyła dziesiątki lat! Po dwudziestu, trzydziestu latach użytkowania wyprawne koszule i prześcieradła „babci” szły na wyprawki nowonarodzonych wnucząt. Zapewne, że część duża, że powiedzmy, połowa zasługi spada na trwałość dawnych płócien — ale druga połowa należy się dawnemu praniu. Dziś nieszczęśliwie płótno biorą w obroty żelazne szczotki i gryzące proszki — to też tknię z włochatej i mięsistej od pierwszego razu robi się wiotką szmatą — a za dziesiątem praniem występują na niej drobne pęknięcia, jakby nacinane szczyrykiem — i już jej nie uratują żadne cery.

Dawniej prały ręce cierpliwe i pracowite — a całem ułatwieniem roboty bywała miękka woda: *deszczówka*, którą się zbierało w podstawione pod rynny beczki, czekając z praniem obfitego deszczu.

Ponieważ nietylko ta pocziwa pracowitość staroswiecka zanikła — ale dzisiaj fatygą ludzka musi być wysoko opłacana i skrupulatnie oszczędzana — więc musimy szukać czegoś trzeciego pomiędzy tem, co było, a tem, co jest.

Zagranicą zwrócili na siebie moją uwagę dwa systemy prania: *włoski* i *niemiecki*.

We Włoszech bieliznę pierze się po dwakroć. Za pierwszym razem suto namydłoną i z mydła niewypłókaną rozwiesza się na słońcu — a gdy zupełnie wyschnie, wrzuca się ją powtórnie do wody i pierze — i po dokładnem wypłókaniu, tym razem, znów wiesza się na słońcu. Włoskie słońce robi ją śnieżnie białą! Włoszki piorą bieliznę wyłącznie w zimnej wodzie i na dworze. Tuż obok cysterny znajduje się w tym celu wbity w ziemię stół marmurowy i także koryta. Niesłusznie cudzoziemcy urągają włoskiemu rozwieszaniu bielizny na dworze! Jest to ogromnie mądry zwyczaj: słońce prześlicznie ją blichuje i słońce zabija wszelkie mikroby i ich zajązki.

Włoska bielizna cudownie pachnie morzem, wiatrem i słońcem. — Ale ten system jest tylko dla Włochów. Choć może być nie bez znaczenia dla mieszkawców wsi i letniaków. Unika się gorąca i oszczędza opału.

System niemiecki jest natomiast ogromnie praktyczny dla wszystkich — zużywa wprawdzie dużo opału, ale praniem zastępuje zupełnie to, czego najwięcej musimy oszczędzać: fatygę ludzką. — Brudną bieliznę, namoczoną w zimnej wodzie na całą noc, nazajutrz (bez prania) wrzuca się do kotła i gotuje w wodzie, do której dodaje się krajane drobno mydło, soda i nafta.

Nie jestem pewna, czy dobrze już dziś pamiętam proporcje, zdaje mi się, że na wiadro wody idzie 1/4 funta mydła, trochę sody i dwie łyżki nafty. Po wygotowaniu bieliznę płóczy się już tylko w zimnej wodzie, farbkuje — i koniec. Bielizna tak traktowana jest nadzwyczajnie czysta.

Złą stroną niemieckiego systemu jest okropny zaduch z gotowania bielizny, mydła i nafty.

System niemiecki będzie doskonałym, jeśli się uda usunąć tę jedną jego złą stronę: zakażenie powietrza.

Proponuję zbudować kocioł mego pomysłu.

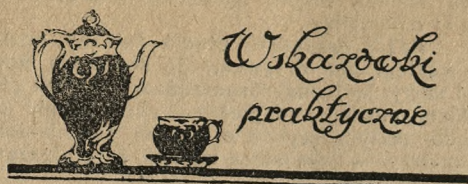
Kocioł ma być obszerne, mocny, bardzo szczelny, z pokrywą hermetycznie zastrubowującą się. Z boku kotła szeroka rura prowadzi wytwarzającą się w kotle parę prosto w komin — lub w kanał kuchennego pieca — który powinien w każdej kuchni mieć przygotowany w tym celu otwór (w razie nieczynności zamykam szczelną pokrywka). Otwór taki w kanale kuchennego pieca robią w Rosji dla wstawiania weń rury od samowaru. Wewnątrz kotła cztery giętkie łopatki skrzyżowane chodzą we wszystkich kierunkach, poziomo i pionowo, mieszając ciągle bieliznę, poruszając umieszczoną na zewnątrz korbą, lub lepiej jeszcze jakimś motorem.

Kocioł ten mógłby być nawet przewożony na kółkach tak, jak bywają wanny z pie-

cykiem, jeżdżące po mieście na obstalunek. Tam gdzie do kanału dostać się trudno, można rurę kotła wpuścić w okno — jedną kwaterę jego, zamiast szkłem, pokryć blachą i w niej zrobić otwór, tak, że w razie nieczynności zamykamy szczelną pokrywka.

Oddaję ten surowy pomysł do opracowania technikom.

M. K.



## KUCHNIA WŁOSKA.

(dokończenie)

Każda prowincja Włoch zjednoczonych miała swoje własne, ulubione przysmaki, — nawet makaron, a raczej różne rodzaje makaronu, zebrane pod ogólną nazwą „pasta asciutta”, i risotto w każdej miejscowości inaczej są przyrządzane. Stanowią one nietylko podstawę odżywiania się ludności pracującej, lecz i wstęp do śniadań i obiadów klasy wyższej, zastępują one przeważnie zupy, lub raczej stanowią ich główną część składową. Tutaj muszę zrobić uwagę, że po dokładnem przestudiowaniu wyżej wymienionej „La scienza e cucina”, nie znalazłam ani jednej zupy kwaśnej, zabielennej, w rodzaju naszego barszczu, lub kapuśniaku, — buraki w ogólności zdają się nie być znane we Włoszech, — natomiast rosół „il brodo”, przygotowywany według dobrych tradycji, zupełnie zresztą identycznych z naszymi i z „pot-au-feu” francuskim stanowi podstawę, a raczej zaprawę różnych makaronów, ryżów, klusek i kluszek codziennych jadanych. Neapolitańczycy zalewają swój makaron mocnym buljonem, sokiem mięsny „sugo”. Na Sycylii podaje się doń oddzielnie masło, ser parmezan i pomidory, w Toskanji dusi się go z pomidorami i ospytuje obficie serem. W ogólności sery ostre i łagodne są jednym z najważniejszych artykułów spożywczych, oprócz znanego u nas parmezanu „Parmigiano”, — który u nas jako ostra przekąska jest używany, we Włoszech zaś do celów kuchennych służy, w częstem użyciu jest „caccio cavollo” z mleka oślego, który się podaje smażony na gorąco i serki z mleka krowiego „mascarpone” w rodzaju francuskich „fromage à la crème”, jedzone na deser z cukrem. Medjolan słynie z zupy rybnej, rywalizującej co do smaku ze światowej sławy „bonille à la basse” i marsylską „pizzi”, potrawą z ryby kształtem tort lub pasztet przypominającą.

W Wenecji jada się oprócz specjalnie tam smacznej „polenty”, która jest właściwie zwykłą kaszą kukurydzaną, rozmaite smaczne „fritury” na oliwie, zakrapiane cytrynowym sokiem i pomidorowym sosem, „frutti di mare”, (rozmaite nuluski surowe i gotowane) wyborne kraby i prerażające obcokrajowca swym wyglądem ośmiornice „calamajo”. Kto jednak swój wstręt przezwycięża i spróbuje zjeść takiego smażonego potwora, przynajmniej, że są one wyborne, — ja przynajmniej po przezwyciężeniu pewnej nieufności, wywołanej ich wyglądem i nazwą „atramentica” zjadłam się nimi. Krym ma swoje „capreto rostro” (koźle pieczone), „murrarella i caroce” (ser smażony w cieście), „carciofilli alla romaus”, (małuskie karczochy) o miękkich łuskach, zjadane w całość. Livorno słynie z „caccucco alla Livornese” wybornej zupy rybnej, — Genua z nadzwyczajnych „ravioli”, — Turyn z risotto z białymi truflami, — tego risotto, od którego według dawnych tradycji każda kolacja w dworze się zaczynała. Można by tak wliczać bez końca. Przed wojną, smakosz, chcący poznać, obok dzieł sztuki i pamiątek historii i kultury romańskiej, tajemnice gastronomiczne Włoch, musiałby dużo podróżować, — wojna, która dawniej już zjednoczone Włochy, jeszcze ściślej połączyła, sprawiła, że produkta spożywcze i przepisy kuchenne wszędzie

przenikły i wszędzie jeść można jednakowo przyrządzone — jednakowe przysmaki, — toteż turyści nasi, tak licznie zwiedzający kraj naszych sprzymierzeńców, chwalą w głos jeden współczesną kuchnię włoską.

W codziennem życiu rodzinnem nie używa się we Włoszech dużej ilości legumin i ciast słodkich, — deser zwykły stanowią owoce i sery, — co nie przeszkadza, że Włochy mają swoje nationalne wyborne ciasta, jak naprzykład Neapol i Sycylja ciasto migdałowe „pastareale” i różne ciasta pistacjowe, wszystkie bardzo silnie aromatyzowane, cukierki i ciastka zwykłe cukiernicze są też przeważnie wszędzie dobre, — o lodach, które są rzeczywiście wyborne, już uprzednio mówiłam.

Specjalnością włoską jest sos „zabaine” (nasz szodón), nietylko jako sos, lecz jako środek wzmacniający dla chorych i rekonwalescentów używany, wraz z „cordiale”, (mocny buljon z jakiem i winem Marsala), dodawał tu siłę i krzepił energję rannych i wyczerpanych po okrutnych bitwach wojny ostatniej.

Umiejętność dobrego, zdrowego i smacznego jedzenia jest sztuką, której nietylko gospodynie domu we Włoszech hołdują. Chłuba Włoch, d'Annunzio, jest wielkim smakoszem i nietylko w czasie przymusowej emigracji we Francji wynalazł sałatę, która nazawsze będzie nosiła jego imię, lecz w chwilach odpoczynku u siebie w domu, woli cudowne torty — których wyborny smak stwierdza pani Chłudzińska - Paulucci, która takiego tortu z własnych rąk wielkiego mistrza kosztowała.

(D'Annunzio jest zresztą geniuszem eklektycznym, gdyż wynalazł wodę toaletową „L'aqua Nunzia”). Przykład gospodarności i oszczędności w prowadzeniu domu, daje kobietom włoskim sama obecna królowa.

W czasie wojny królestwo oboje zaprowadziła jaknajdalej idącą oszczędność na dworze, wszelkie zaoszczędzone sumy przeznaczając na pomoc rannym. Chleb nawet biały, pszenny był na cały czas wykluczony, dwór cały jadał wyłącznie czarny chleb żołądki.

Opowiadają anegdotę, że w czasie jednego z licznych obiadów frontu, burmistrz miasta Trevizo, przyjmując śniadaniem króla, niepomny zakazu, częstował króla białymi bułeczkami, król tak był tem oburzony, że kazał rozrzuć burmistrza usunąć.

Według naszych pojęć, kara nie byłaby odpowiednią do winy i trochę jak na najbardziej konstytucyjnego z królów, nadto przypomina średniowiecze, — anegdota jednak w tej formie jest opowiadana.

Te szczęśliwe czytelniczki, którym czas i środki na podróże pozwalają, zwiedzając cudowne, malownicze Włochy, niech spróbują specjalnych dań tu wymienionych, niech piją codziennie słodkie, aromatyczne wina włoskie, — bo nietylko estetycznymi wrażeniami człowiek żyje — lecz i chlebem powszednim, a czem kulturalniejszym jest człowiek, tem smaczniejszym i bardziej urozmaiconym ten chleb być powinien.

Pani Elżbieta.

## KONFITURY.

W czasach powojennych, kiedy nieraz było trudno o cukier w większych ilościach, wyszły prawie zupełnie z użycia domowego konfitury, — kiedy cukier się znów w obfitości zjawił, już się od nich w części odzwyczajono, w części zastąpiono je karmelkami, różnymi fabrycznymi marmeladami, miodem sztucznym i t. p. Dogadzało to zajętym poza domem pracą zawodową paniom, jeszcze bardziej dogadzało leniwym służącym, i zakorzeniło się przekonanie, że konfitury są rzeczą kosztowną i zbędną. Nikt prawie nie myślał o tem, jakiego zdrowego, pożywnego przysmaku pozbawiamy dzieci, karmiąc je natomiast niewiadomego pochodzenia i składu słodyczami, ile szkody ich zdrowiu przyczyniamy. Konfitury — to takie miłe wspomnienie naszego dzieciństwa, takie, we właściwym i w przenośnem znaczeniu, słodkie. Każdy dzień miał swoje przy ich smażeniu zachowywanie sekre-



tu i tradycja, ciocie i babcie, panny respektowne i panny apteckowe prześcigały się w pomysłach, urozmaicaniu ich gatunków, zachowaniu całości owocu, przezroczystości i gęstości syropu, aromatyzowaniu ich wanilią i kwiatem pomarańczowym, nadaniu całej gamy barw galaretkom przy jednoczesnym zachowaniu największej ich ściśłości. Czasy się zmieniają, demokratyzujemy się pod każdym względem, takie przeróżne arcydzieła jak „szyszki chmielowe z zielonego agrestu, porzeczeki drelowane w całych gronkach“, możemy podarować przeszłości, natomiast ze względów zdrowotnych i oszczędnościowych winnyśmy zaopatrzyć nasze spiżarnie w możliwie największe ilości konfitur typu angielskich „Jamów“, marmelad, kompotów, soków i powideł. Gdy nadejdzie zima i zmniejszy się ilość spożywa-

nych na świeżo owoców i wprost z gruntu branych sałat i jarzyn, owocowe te konserwy będą nie tylko urozmaicały nasze, zawsze mięsem przeładowane menu, lecz niejedno dziecko lub starca, niejedną osobę o słabszym trawieniu, uchronią od zaburzeń żołądkowych, — a zastępując kupne przysmaki, sporą sumkę oszczędności przyniosą w rezultacie.

Na wsi najlepiej jest smażyć konfitury na wolnym powietrzu, unika się przez to gorąca kuchni, much, które na powietrzu są mniej dokuczliwe.

Każdy przenośny piecyk żelazny opalany węglem lub drzewem, do smażenia może być użyty, jeśli nie rozporządzamy takim piecykiem, można z cegieł na glinie zlepić naprędce mały piecyk z otwartym paleniskiem, zaopatrzyć w jaką starą fajerkę, rurę blaszaną

wstawić z jednej strony dla odprowadzania dymu i kuchnia do konfitur gotowa, — należy ją urządzić gdzieś na ustroniu, w cieniu drzew, — każdy mularz, kominarz lub tak zwany we dworach „majster“ zbudować ją potrafi, — lata całe przetrwa, z jesienią, po ostatnich powidłach śliwkowych i serach jabłecznych, rozebraną na części składowe, przechowa się ją gdzieś w śpichrzu do następnej wiosny, — taka kuchnia winna się opalać drzewem, na co zawsze w obrębie ogrodu znajduje się dosyć suszu i gałęzi, — najlepsze w tym celu są gałęzie drzew owocowych, zbierane w czasie ich obcinania i przechowane na sezon konfiturowy. Smażyć konfitury najlepiej w mosiężnej miedniczce, większe ilości w kociołku mosiężnym lub miedzianym, niepobielanym, w ostatecznym

**BARDZO WAŻNE!**

## Od Administracji.

**BARDZO WAŻNE!**

### DO SZANOWNYCH PAŃ PRENUMERATOREK!

**Od 1-go b. m. cena pojedynczego numeru „BLUSZCZU“ wynosi 1 złoty 20 groszy.** Ceny „Bluszcza“ w prenumeracie nie podwyższamy. Arkusz wzorów robót do kopjowania posyłać będziemy tylko tym Szan. Prenum., które wniosą miesięcznie kwotę **4 złote**. Prosimy o uregulowanie zaległej prenumeraty. „Bluszcza“ musi regularnie opłacać koszty druku, papieru, musi natychmiast pokrywać wydatki Administracji i Redakcji i nie może absolutnie zaciągać żadnych długów. **Istnienie „Bluszcza“, jego regularna wysyłka Szan. Pren. zależne są wyłącznie od punktualności w uiszczaniu prenumeraty.** Stwierdzamy, że wysyłka „Bluszcza“, jest przez Adm. bardzo dokładnie sprawdzana i ewentualne niedokładności w otrzymywaniu numerów przez Sz. Prenum. nie pochodzą z winy Admin., która wszystkie numery — ze względu na uiszczanie opłaty poczt. ryczałtem — dostarcza Urzędowi poczt. za konsygnacją. Wysyłkę „Bluszcza“ wstrzymujemy po otrzymaniu zawiadomienia o przerwaniu prenumeraty, lub też w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca, co nie zwalnia od uiszczenia należności za wysłane, a przyjęte przez prenumerat. numery. Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy należytość dodatkową w kwocie 50 groszy. **W razie nieotrzymania „Bluszcza“ we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną, która nie jest wolną od opłaty pocztowej, jak to mylnie podano w komunikacie Adm., umieszczonym w 24 numerze „Bluszcza“.** Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.** Przy przesyłaniu należytości za prenumeratę czekiem P. K. O., jak również przy zamawianiu listownym tygodnika, należy podać dokładny i wyraźny swój adres.

**„Bluszcza“ wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót, oraz dodatek powieściowy formatu książki, zaś raz na miesiąc do pierwszego n-ru. po 15-ym, bezpłatnie, tablicę krojów. Również można otrzymywać stale miesięcznie jeden arkusz naturalnej wielkości wzorów haftów do kopjowania na materiale, za dopłatą 50 groszy, którą należy wpłacać wraz z prenumeratą.** Arkusz ten dołącza się do drugiego Nr. „Bluszcza“ po 15-tym każdego miesiąca. Prosimy o rozpowszechnianie „Bluszcza“ w kołach swoich znajomych. Panie, które zjedną nam 5 nowych prenumeratorek, wpłacających prenumeratę półroczną z góry, otrzymają „Bluszcza“ do końca roku bieżącego **bezpłatnie.** **Prosimy o umieszczenie korespondencji na czekach P. K. P. w wyznaczonym na korespondencje miejscu,** gdyż wszelkie uchybienia w tym względzie, powodują potrzebę pisemnych wyjaśnień.



razie w zwykłym rondlu emaljowanym, lecz nigdy w rondlu aluminiowym lub pobielanym, — z takich zupełnie schodzi kolor a przez to wygląd traci.

Na konfitury można używać prawie każdego jagód i owoców, zimą można smażyć konfitury z cytryn i pomarańcz, z jabłek i żurawin, z ananasów i bananów, z kasztanów — na koniec, — głównym jednak sezonem konfiturowym jest lato, od lipca do jesieni, kiedy ostatnie owoce z drzew zdejmują, — wobec niemożności usmażenia sobie wszystkich gatunków konfitur, należy zrobić sobie z góry plan, jakie gatunki i w jakiej ilości smażyć zamierzamy, kierując się gustem swoich najbliższych i potrzebami domu, które każda doświadczona gospodyni znać powinna. W każdym razie nie powinno brakować w tym spisie konfitur malinowych, jako pomocnych przy zaziębieniach i katarach. Żeby ułatwić paniom wybór projektowanych konfitur, podajemy tu mały spis owoców używanych na konfitury, w kolejności takiej, jak w naszym klimacie dojrzewają lub na naszych rynkach się zjawiają. Między nimi będą niektóre jarzyny używane na konfitury, jak np. głąbie sałaty, marchew, — rzecz to amatorska, (podać je jednak dla całokształtu muszę). Gdy dojdę do właściwych przepisów smażenia konfitur będę się trzymała tej samej kolei.

Pierwszym materiałem, zdatnym na konfitury wczesną wiosną jest rumbarbarum, a raczej jego mięsiste łodygi, konfitury, a raczej lepiej marmelada zeń jest bardzo pożyteczna w gospodarstwie, zastępuje doskonale do ciast i legumin marmeladę jabłeczną i bardzo jest pomocna w trawieniu.

A zatem od tego pożytecznego ziela rozpoczynam:

1. rumbarbarum;
2. czereśnie białe;
3. czereśnie czerwone;

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.

ATRAMENTY

„KOŁORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

4. czereśnie czarne;
5. ajer;
6. poziomki leśne;
7. poziomki miesięczne;
8. truskawki ananasowe;
9. truskawki białe;
10. truskawki victorja;
11. agrest zielony;
12. agrest dojrzały;
13. maliny leśne;
14. maliny amerykańskie;
15. maliny białe;
16. jeż, ny;
17. morele;
18. wiśnie;
19. głąby z sałaty;
20. gruszki;
21. renklody;
22. jabłuszka rajskie;
23. jabłuszka syberyjskie;
24. jabłka słodkie;
25. orzechy słodkie;
26. głóg;
27. melon;
28. arbuz (kawon);
29. śliwki;
30. dereń;
31. berberys;
32. borówki;

33. jagody (czernice);
34. włochinie;
35. pomidory zielone;
36. pomidory dojrzałe;
37. brzoskwinie;
38. winne grona;
39. ananas;
40. żórawiny;
41. kasztany;
42. pomarańcze;
43. mandarynki;
44. cytryny;
45. marchew;
46. kasztany;
47. banany;

Pani Elżbieta.

Pan Jan Wasilewski, aptekarz w Raciążu. Dokładny opis użycia szkła wodnego do konserwowania jaj był podany w numerze „Bluszczu” 21 str. 329.

Proszę są Szanowne Panie Kuchmistrzynie o wymienienie potraw, których przyrządzenie jest nieskomplikowane, łatwe i prędkie (zup, mięs, legumin) — a które mogą być ugotowane na prymusie, (wogóle, na maszynie jednoogniskowej) prosząc, aby przepis był tak jasny i dokładny, aby te potrawy mogła sobie ugotować osoba, (kobieta czy mężczyzna) która z kuchnią jest nieobojajna.

S. Z.



REPERTVAR TEATRÓW WARSZAWSKICH



|                  | TEATR WIELKI      | ROZMAITOŚCI                           | LETNI                               | POLSKI            | MAŁY              | KOMEDJA               |
|------------------|-------------------|---------------------------------------|-------------------------------------|-------------------|-------------------|-----------------------|
| Niedziela 13/VII | N i e c z y n n y | „Nieprzyjaciółka”                     | „Promienie F. F. Brunona Wina-wera” | N i e c z y n n y | N i e c z y n n y | „Musi się pan ożenić” |
| Poniedz. 14/VII  |                   | „ „                                   | „ „                                 |                   |                   | „ „                   |
| Wtorek 15/VII    |                   | „ „                                   | „ „                                 |                   |                   | „ „                   |
| Środa 16/VII     |                   | „ „                                   | „ „                                 |                   |                   | „ „                   |
| Czwartek 17/VII  |                   | „ „                                   | „ „                                 |                   |                   | „ „                   |
| Piątek 18/VII    |                   | „ „                                   | „ „                                 |                   |                   | „ „                   |
| Sobota 19/VII    |                   | „Gdy kobieta zapragnie”<br>(premiera) | „ „                                 |                   |                   | „ „                   |
| Niedziela 20/VII |                   | „Gdy kobieta zapragnie”               | „ „                                 |                   |                   | „ „                   |



## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 28

234. Suknia z brązowego crepe marocain, haftowana kolorami.

235. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 5 z kretonu gładkiego i w kropeczki.

236. Sukienka dla dziewczynki od lat 4 do 7 z satyny niebieskiej i niebieskiej w białe paski.

237. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 6 z piki białej, wyszyta szafirową bawełną, pocztowym ścięciem.

238. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 7. Majtki granatowe, bluzka biała z granatową wypustką.

239. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6 z dymki kolorowej, przybrane białą piką.

240. Ubranko dla chłopczyka od lat 3 do 6 z ponsowej dymki, wykończone granatową plisą.

241. Ubranko dla chłopczyka od lat 6 do 10 z surowego jedwabiu, przybrane plisą niebieską.

242. Kostjum z gabardiny granatowej, bogato haftowany.

243. Sukienka dla młodej panienki z satyny deseniowej — rękawki białe — przybrane z czarnej aksamitki.

244. Suknia z białej lekkiej wełny, przybrana czarną aplikacją. — Spód czarny.

245. Bluzka z surowego jedwabiu gładkiego i w kratę.

246. Suknia z białego płótna, przybrana szlakiem, haftowanym barwnymi kolorami.

247. Suknia z różowego crepe de chine'u. Haft w kilku cieniach różowych i oliwkowych. Aksamitka oliwkowa.

248. Suknia z deseniowej satyny, lub kretonu. Kieszeń i pliska w jednym kolorze.

249. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z niebieskiej markizety z trzema falbankami.

250. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 8, z lila crepe de chine'u, przybrana haftem, wykończona fiołkową aksamitką.

251. Sukienka dla dziewczynki od lat 4 do 6, z płócienka jasnego, przybrana szlakiem.

252. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 9, z fularu deseniowego — kołnierzyk biały.

253. Kostjum z popielatego woalu. Spódnica plisowana. Żakiet, związany szeroką szarfą.

254. Wzór na środek poduszki z falbaną. — Haft kolorowy.

### PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚ

rocznie . . . . . 42 zł. — gr.  
kwartalnie . . . . . 10 „ 50 „  
miesięcznie . . . . . 3 „ 50 „

Wraz z arkuszem wzorów do kopjowania o 50 groszy więcej miesięcznie.

Zagranicą:

miesięcznie . . . . . 7 zł. — gr.  
Wraz z arkuszem wzorów do kopjowania o 1 złoty więcej.

zmiana adresu . . . . . — „ 30 „

### CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona . . . . . 90 zł. — gr.  
 $\frac{1}{2}$  „ . . . . . 51 „ 75 „  
 $\frac{1}{4}$  „ . . . . . 29 „ 25 „  
 $\frac{1}{8}$  „ . . . . . 15 „ 75 „  
 $\frac{1}{16}$  „ . . . . . 9 „ — „  
 $\frac{1}{24}$  „ . . . . . 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na  $\frac{1}{4}$  część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku mód nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

### TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

| Wielkość | obwód piersi | pas | obwód bioder | dług. pleców | dług. spódnicy |
|----------|--------------|-----|--------------|--------------|----------------|
| I        | 84           | 64  | 96           | 34           | 75             |
| II       | 96           | 68  | 105          | 37           | 85             |
| III      | 102          | 72  | 110          | 39           | 95             |
| IV       | 114          | 85  | 120          | 40           | 100            |

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

### Dr. M. TUCHENDLER

B. LEKARZ KLINIKI PROF. LESSERA  
CHOROBY SKÓRNE, KOSMETYKA  
(ŁUPIEŻ, PIEGI, PŁAMY, USUWANIE  
BRODAWEK ELEKTRYCZNOŚCIĄ)

od 11 do 12 $\frac{1}{2}$  i od 6—8. 221

Królewska 27 m. 1. Telef. 14-27.

**Polecamy doskonałe mydło  
przeciw łupieżowi**



TOW. AKC. „Fr. Karpiński”  
W WARSZAWIE.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

**PIG. CHLOROFILOWE**  
GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza  
apetyt i wzmacnia organizm.



## OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” — Długa 9 i l. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.  
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA  
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK” Nowy-Swiat 8-10.